Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1881. Rok IV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

(Ciąg dalszy).

Karawana nasza znowu ze szlaku swego ruszyła kilka frankolinów, które zaraz w pobliżu zapadły, oczywiście wtedy wszyscy chwytaliśmy za broń i puszczaliśmy się w pogoń za nimi. Szczególne to ptaki! Frankolin zrywa się czasem daleko przed strzałem lub jeźdźcem, ale gdy raz zapadnie, już go żadna siła ludzka (bo o sile psiej nie mówię) do zerwania się powtórnego nie zmusi. Po drodze zabiłem frankolina, a Rudzki ficlausa. Doszedłszy do morskiego wybrzeża, zastaliśmy tam żaglową rybacką łódkę, na którą część naszych towarzyszów, strudzonych konną jazdą, wsiadła z rybakami, i tak popłynęli do Pajas. Po drodze strzelali bez skutku namacalnego do pląsających po falach delfinów. Zanotować tu muszę, że chociaż to dziś 2 Marca, użyłem rozkoszy morskiej kąpieli pomimo protestacyi kolegów moich. Reszta naszego towarzystwa z karawaną dalej konno wyruszyła, stanęliśmy w Pajas już dobrze o zmroku. Miła czekała nas tu niespodzianka po wczorajszym noclegu. Zastaliśmy tu chan piętrowy z bardzo szeroką izbą. Chan jestto nazwa, którą na Wschodzie dają domom zajezdnym, ale które w niczem co do komfortu zbliżone nie są do zajezdnych domów w Europie. Na piętrze ciągnęła się długa weranda z widokiem na morze, w którem zachodzący księżyc właśnie się zatapiał. Widok to był czarujący, i wyznaję, że nie tęskniąc w tej chwili ani za europejskim komfortem ani za wygódkami, które mi są zupełnie obojętne, gdy mi je widok przyrody tak hojnie wynagradza, wieczór ten przepędziłem nadzwyczaj miło, w zachwyceniu prawie. Rozgościliśmy się stosunkowo wygodnie, i Brzostowski zgotował nam wyborny obiad z rozmaitych potworów morskich zakupionych od rybaków. Kajmakan niby Starosta tutejszy zapowiedział nam swoją wizytę, rano uprzedziliśmy go oczywiście i odwidziliśmy go w jego Konaku. Widocznie brał on nas za wielkich dygnitarzy i zdaje mi się, iż Józefa Drohojowskiego wziął co najmniej za Następcę tronu Austryackiego, o którym słyszał, że teraz gdzieś podróżować ma po Wschodzie. Drohojowski doskonale odegrał swoją rolę, przez grzeczność nawet wypalił podaną mu cygaretę z bardzo mocnego tytoniu, chociaż nigdy nie pali, wypił czarną kawę bez cukru, i po chwili począł dostawać nudności. Pożegnaliśmy więc pospiesznie Kajmakana i zwidziliśmy twierdzę dziś w gruzach, a służącą za pomieszczenie słabej załogi, która tam strze-

że więźniów stanu. To więzienie świadkiem nieraz było już wielu ciekawych i romantycznych epizodów. Góry Giaur-dagh były przed laty schronieniem przeróżnych szczepów nie uznających władzy Ottomańskiej, które pod jej panowaniem żyć musiały. Wysłany przed kilkunasty laty gubernator bardzo energiczny, zdaje mi się Reszyd-Pasza, z liczną siłą zbrojną, tym buntom kres położył i rozboje powstrzymał. Gdzie-niegdzie tylko pojawiali się w tych górach rozbójnicy, których oryginalny sposób życia na uwagę zasługuje. O jednym z nich wspomnieć muszę, ale nazwiska jego niestety zapamiętać nie umiał m. Był to potomek wielkiej rodziny panującej w tych górach, rodzaj księcia udzielnego. Przywykły do rozkazywania a nie do słuchania rozkazów, oparł się oczywiście, skoro władze Ottomańskie zawezwały go do pełnienia służby wojskowej. Z licznym, dobrze uzbrojonym pocztem przyjaciół i sług, schronił się w góry Giaur-daghu, i tu staczał bitwy, zawsze zwycięskie z wojskami tureckiemi, wysyłanemi przeciw niemu. Żył z rozboju, ale ten rozbój jego był oryginalnym. Wysyłał swoich zaufanych ludzi, którzy wkradali się aż do mieszkania gubernatora, i tam od niego, z pistoletem wymierzonym ku piersi odbierali pieniądze ściągnięte przez rząd jako podatek wydarty od biednej ludności. Policya turecka tak jest sprytną, że nigdy nie zdołano pochwytać sprawców tego figla, a ludzie zaufani naszego oryginalnego bandyty przebiegali potem wioski okoliczne, i oddawali z najwyższą akuratnością biednej ludności pieniądz wydarty im przez Rząd na podatek. Ten azyatycki Rinaldo-Rinaldini prócz tego nigdy żadnego nienapadał europejczyka, ale nienawidził Greków i Ormian, najwyższych oszustów śród tutejszej ludności. Spotkawszy więc w swych górach kupca Greka lub Ormiana, nie przepuszczał go nigdy, zabrał cały dobytek, i rozdzielał go niezwłocznie między ubogą ludność miejscową, twierdząc zawsze, że bogactwo tych szalbierzy powstało z łez i krzywdy owych nieszczęśliwych ofiar. Po kilku latach i ten poetyczny bandyta popadł przez zdradę w ręce władz tureckich. Szczegółów jego uwięzienia nieumiano mi dokładnie opowiedzieć, ale i tu była jakaś romantyczna historya, bo jak to zawsze w takich sprawach bywa: „*Cherchez la femme!*“ Dość, że ten bandyta bohater, długo więzionym był w twierdzy Pajas, aż raz, namówiony przez swoich towarzyszy, o ucieczce zamarzył. Pokazywano nam miejsce w rowie otaczającym fortecę, gdzie padł od kuli stojącego na straży żołnierza.

Zwidziliśmy potem meczet ślicznej budowy, ale dziś już przemieniony w ruinę, jak w ogóle wszystkie gmachy tureckie w Azyi. Budynki tu rozpadają się tak w gruzy, jak całe Państwo Ottomańskie. Tu zapisać wypada wyraz: „*finis Osmaniae*“. Tu już sam Ałłah niepomoże. Wicher szalał przez noc całą, i morze bardzo było wzburzone.

3 Marca wyruszyła nasza karawana z Pajas do Aleksandretty. Burza przybrała rozmiary, o jakich w Europie pojęcia nawet niemamy. Kroczyliśmy wzdłuż morskiego wybrzeża, po lewej piętrzyły się wciąż ciemne szczyty Giaur-daghu, po prawej zaś rozbujane, spienione i jak śnieg białe morskie fale, nad któremi wichrem pędzone kropliste mgły przypominały nam zadymkę śnieżną na Podolskich stepach. Konie nasze postępowały z trudnością, a od czasu do czasu uragan zasypywał nam oczy deszczem piasku, kamyczków i morskich muszelek, od których tylko głęboko na twarz wsunięte zawoje, ochronić nas zdołały. Był to istny obraz sławnego Samum na Saharze, ale jeszcze o wiele boleśniejszy. Kazimierz Drohojowski, który w chwili wyjazdu do Alexandretty chciał udawać europejczyka, zdjął dziś swój zawój turecki i okrył głowę eleganckim wiedeńskim kapeluszem. Uragan muzułmański tem zgorszony, zdarł mu oczywiście to eleganckie, ale tu wcale niepraktyczne nakrycie głowy. Kapelusz szybkim lotem na skrzydłach wiatru uleciał w górę, jakby frankolin z mirtowego krzaka, chwilę krążył w powietrzu, a potem jak orzeł, który się rzuca na swą zdobycz, runął z góry na morze, by zatonąć po wiek wieków we wzburzonych falach i stać się pastwą rekinów. Panad karawaną naszą prawdziwy orzeł pławić się zaczął i padł od strzału Rudzkiego, a po chwili nadleciał i sęp olbrzymi, któremu uragan tak do lotu przeszkadzał, iż na parę stóp zaledwo mógł się wznieść nad ziemię, kilka strzałów padło do niego, ale ptaka nietknięto wcale.

O Aleksandrecie dawnem Iskanderum, długo rozpisywać się niemyślę, jestto portowe miasto pół-wschodnie, pół-europejskie, położone śród bagien w najniezdrowszej w świecie okolicy tak, że mieszkańcy zamożni w Maju wynoszą się w góry, a pozostający stają się pastwą zawziętej febry, która często, zwłaszcza dla cudzoziemców śmiertelną bywa.

Dzień więc 4go Marca przepędziło towarzystwo nasze na wypoczynku w Aleksandrecie. Wypoczynek to był świetny, gdyż zastaliśmy tu jakiś rodzaj hotelu, nocleg się odbył, jak zwykle na Oriencie bez łóżek i pościeli, w pokojach bez drzwi i okien, ale spało się doskonale, niezaznało się głodu, gdyż oprócz przywiezionych ze sobą rozmaitych zasobów, zjedliśmy w restauracyi całą owczarnię, bo baranina jest tu jedynem znanem mięsem. Dodać do tego należy najrozmaitsze wyborne owoce wschodnie, lepsze i aromatyczniejsze od wszystkich owoców europejskich. Jeden z towarzyszy naszych p. Rudzki znękany, zmęczony, zdemoralizowany opowiadaniami o jakichś idealnych napadach i rozbojach w Syryi, opuścił nasze towarzystwo, i korzystając z wyjazdu francuskiego parowca: „La Seyne“, który odpływać miał do Marsylii, pożegnał nas, niechcąc się narażać na niebezpieczeństwa dalszej myśliwskiej wyprawy.

Dnia 5 Marca, pomimo niesłychanego upału nasze grono myśliwskie pod przewodnictem Brzostowskiego, udało się z 10 Arabami i jednym tamtejszym strzelcem, na polowanie na szakale, w okolicę Alexandretty. Kara Audżi pozostał w mieście, by wszystko do dalszej podróży przygotować. Po półgodzinnym chodzie za miastem, stanęli nasi myśliwi na starym rzymskim murowanym wodociągu, a pogonka goniła oleandrowe zarośla i szuwary na bagnach. Było to najoryginalniejsze stanowisko, na którem kiedykolwiek stać mi się wydarzyło, zwierz, by przejść linię strzelców, musiał akrobatyczne wyprawiać sztuki, i zdawać dowody gimastycznej zdolności. Zaraz w tym pierwszym miocie Józef Drohojowski zabił szakala, a Hulimka ślicznego żbika *felis chaus*, o wiele większego od żbika *felis caligata*, o barwie siwo szarej wcale nie centkowanej, ogon tylko ozdobiony kilkoma czarnymi obręczami, na uszach ma jak ryś czarną, długą szczeć stojącą w kształcie pióropusza. Kazimierz Drohojowski także zabił szakala. Powtórzyliśmy jeszcze kilka takich miotów na trzcinach, i w jednym z nich wyszło na Hulimkę z rzędu aż 5 szakali, z których zabił jednego, a Józef Drohojowski drugiego, potem chybiono jeszcze do kilku szakali. Mnie dziś nieszczęście widocznie prześladowało, nie przyszedłem wcale do strzału. Bardzo wcześnie powróciliśmy na obiad do Alexandretty, poczem udaliśmy się łódką na pokład stojącego jeszcze w porcie francuskiego statku, by pożegnać odjeżdżającego pierwszego dezertera z pod naszego sztandaru p. Rudzkiego. Po skończonem polowaniu, tuż przed obiadem, poszliśmy użyć morskiej kąpieli, która nas po nieznośnym upale nieco ochłodziła, a działo się to 5go

Marca. Mój Boże! może w moim kraju dziś jeszcze sankami jeżdżą, a może termometr stoi niżej 0 Reaumura.

Dnia 6 Marca wypoczywaliśmy, i robiliśmy przygotowania do pierwszej wyprawy w góry, a więc właściwie do rozpoczęcia polowania, a już dwaj bracia Drohojowscy zmęczeni, zdemoralizowani cztero-dniową podróżą i brakiem wygód, przed rozpoczęciem polowania, nasze grono opuścić musieli, i jutro statkiem płynącym na Beyrut odjeżdżają. Zostaje więc pięciu tylko uczęstników wyprawy: Kara Audżi, Hulimka, Brzostowski, Janowski i ja, nieliczące strzelca Hulimki, naszego drogmana pana Mazouillet i młodego Araba Dagera, służącego p. Janowskiego. Prawdziwą była żałobą w towarzystwie naszym utrata tak miłych i uprzejmych kolegów, i jasno nam stanęło w pamięci przysłowie:

„Kto wymyślił pożegnanie,
„Niech mu kością w gardle stanie!“

Wszelakoż widzieliśmy to dobrze, że ci towarzysze, którzy szczery żal za sobą u nas zostawiali, znękani, strudzeni tak stosunkowo małymi trudami, nigdy niebyliby wstanie sprostać trudom, które nas czekają śród polowań górskich. Do tego potrzeba silnego zdrowia, wytrzymałości, cierpliwości, a przedewszystkiem myśliwskiego zapału, który niepozwala oglądać się na niewygody, a od niemyśliwch tego wymagać nie można. Co do mnie, nie przywykłem się cofać z drogi raz podjętej nawet w obec trudności największych, i przedsięwzięte postanowienie wbrew wszelkim przeciwnościom przeprowadzić muszę, choćbym opuszczony przez wszystkich, sam jeden na syryjskiej pustyni jako myśliwy pozostał. Ktokolwiek z Europejczyków polować chce na Wschodzie, niech weźmie na czas jakiś rozbrat z komfortem, do którego przywykł w domu, niech pamięta, że tu myśliwy musi być nieraz swoim własnym liwerantem kuchennym, kamerdynerem, kuchmistrzem, a czasem i praczką. Jeśli jest z usposobienia sybarytą i wygodnisiem, to niech w domu siedzi i poluje po parkach na chowane półswojskie bażanty i na zające w czeskich Kreisach. Tam twarz mu spuchnie od strzelania, zje po polowaniu smaczny obiad, napije się szampana, i będzie mógł jeszcze wieczorem kilka tysięcy przegrać w kwindecza, a potem się wyspi wygodnie na sprężynowym materacu. Któremu myśliwemu takich łowów potrzeba, niechże nie jedzie do Azyi.

W Poniedziałek 7go Marca pożegnaliśmy ostatecznie naszych towarzyszy, i odprawiwszy eskortę, jako balast niepotrzebny, z najętymi końmi i mukrami puściliśmy się w drogę do Akbes. Mukry tem są dla koni w Syryi, czem są osły dla wielbłądów w okolicach Smirny, prowadzą oni te biedne, do niemożliwych rozmiarów objuczone zwierzęta, a te zwierzęta składają się właściwie z dwóch gatunków, z koni i mułów. Nasza karawana otrzymała w udziale egzemplarz niewidziany, należący do tego ostatniego rodzaju, jestto muł narowisty i złośliwy nie do pojęcia, a przytem pasyonat i choleryk. Za zbliżeniem się człowieka dęba staje, ale na przednich nogach, a tylnemi nogami puszcza w koło siebie, jakby młyn ognisty wierzgające wystrzały, gęstsze niż ogień sztućca systemu Wincester. Niesposób było tego furyata użyć do naszej wyprawy, musieliśmy go innym zastąpić.

Obchodzili dziś Grecy i inni chrześcijanie w Alexandrecie festyn pożegnania karnawału. Potworna maska na szczudłach, otoczona licznymi tłumami ludności, odprowadzoną została aż za miasto, i tam dopiero odprawiono *„una fantasia“*, jak mi to jakiś ucywilizowany Arab wytłomaczył. Niewiem na czem się ten festyn narodowy zasadza, i wcale niebyłem ciekaw uciech karnawałowych, bo czas było wyruszać w drogę. Wyjechaliśmy więc z Alexandretty na nocleg do miasteczka Bejlan o trzy godziny marszu. Trudno sobie wyobrazić coś równie malowniczego i dzikiego, jak ta droga, która jest przejściem przez pasmo stromych gór i nazywa się: *„Sakał tutan“* Łapibroda. W głębokich parowach i wąwozach ciągnąca się droga, i rozbójnicy tam wygodnie ukryci za skałami podróżnego wprost za brodę łapać mogą. Jestto w istocie niezrównane pole do popisów dla jakiegoś Rinaldo Rinaldiniego, a choćby i naszego Dobosza, ale poczciwa muzułmańska ludność w Syryi tem rzemiosłem się brzydzi. Może dawniej bywało inaczej, ale dziś już rozbójników tu nie ma, i z trzosem pełnym złota w ręku, może podróżny sam jeden przejść przez całą Syryję, a nikt go niezaczepi i nienapadnie z pewnością. Księżyc wysoko zawieszony na niebie jak lampa czarodziejska oświecał ten cudowny krajobraz, a towarzysząca nam szczególna orkiestra harmonię z tą dziką całością tworzyła, było to bezustanne wycie szakali, zupełnie podobne do płaczu dziecka, niby duchy niemowląt, pokutujące w tych skałach. Dziwne to wszystko sprawiało wrażenie a niezatarte w mojej pamięci.

Późno w noc przybyliśmy do miasteczka Bejlan, gdzieśmy zastali pomieszkanie w piątrowym domu, wygodniejsze niż wszystkie te, któreśmy dotąd na naszej drodze spotkali. Bejlan to cud prawdziwy! na opis silić się niebędę, pióro i pędzel tu stać się muszą bezwładnemi, tak jak w obec Bosforu, choć te piękności całkiem są innego rodzaju. Na stromych stokach gór Giaur-daghu, śród dzikich parowów, fantastycznie pozawieszane amfiteatralnie domy, otoczone winnicami, jakby tyleż gniazd orlich, a między niemi z gór pędzące potoki, tworzące wodospady większe i mniejsze. Gdzie-niegdzie sterczące wysoko skały w postaci wysmukłych kolumn, przypominają wieżyce minaretów i kościołów, a w dali widok na morze. Tu śmiałe, skaliste łuki, niby arcydzieła architektury gotyckiej i bizantyńskiej, bo budowane ręką nie ludzką, ale najpierwszego w świecie budowniczego, tego co stworzył przyrodę. Nie jestem pejzażystą, a jednak mimowoli chciałem spróbować choć kilka z tych czarujących przedmiotów naszkicować, darmo! ołówek wypadł z ręki bezsilnej. To cuda! Cuda prawdziwe!

Kajmakan tutejszy, skoro się dowiedział o naszym przyjeździe, przybył do nas w odwidziny ze swoimi miejscowymi dygnitarzami, i długo w noc zabawiali nas rozmową po turecku. Nocleg mieliśmy wyborny, a rano kąpiel w źródlanej, jak kryształ czystej wodzie, w domu naszym z wodospadu ujętej w olbrzymią, granitową wannę. Czegóż chcieć więcej? Kurük-han, rodzaj hotelu, a raczej kawiarni, z widokiem na jezioro Antiochijskie, u stóp góry Alma-dagh, nad rzeką Kara-su, oto nasz dzisiejszy nocleg. Przeszliśmy przez pasmo gór Giaur-dagh, po drodzę zabiłem na kuchnię zająca, a Brzostowski kuropatwę. Wesoło i swobodnie kroczyliśmy wszyscy pod wrażeniem przepysznych widoków, któreśmy mieli przed sobą, demoralizacya opuściła nasze szeregi, byliśmy lotną kolumną czysto myśliwską. W Kurük-han aż nadto obszerne zastaliśmy pomieszczenie, wielka weranda w postaci mostu rzucona przez płynącą tuż koło domu odnogę rzeki Kara-su, służyła nam za jadalną salę, i znowu wyborną mieliśmy kąpiel. Z wieczora udaliśmy się na zasiadkę na szakale i hyeny, przy padlinie blisko naszego chanu. Na nieszczęście zgraje psów miejscowych, zaniepokojonych przybyciem cudzoziemców, szczekały nieznośnie przez noc całą, i wypłoszyły zwierza. Powracając Brzostowski chybił do pomkniętego żbika.

Dnia 10 Marca ruszyliśmy doliną, wzdłuż pasma tychże samych gór, które się tu kończą stromemi, nagiemi skałami.

*

Na jednej z tych skał ujrzeliśmy orła, karawana podjeżdżała, a ja, zsiadłszy z konia, zaszedłem go zdradziecko, zakryty skałą, wprawdzie na znaczną, ale na możliwą odległość, wzbił się bardzo w górę po moich dwóch strzałach i zatoczywszy krąg w powietrzu padł trupem prawie w sam środek naszej karawany. Piękny to orzeł brunatny *(aquila clanga)*. Jeszcze 11 godzin marszu mieliśmy przez pustynię, na której się znajdują gdzieniegdzie Turkomańskie osady, i przez rzadkie dąbrowy, zanim stanęliśmy we wiosce ormijańskiej Kassa. Tu nas czekał nędzny nocleg w stajence, z której gospodarz przez grzeczność dla nas kozy i owce powypędzał, prowiantów niemieliśmy już żadnych, mleko z ryżem jedynym było naszym dzisiejszym pokarmem. Przysłowie wschodnie mówi: „Żyd oszukać potrafi 10 Turków, Grek 10 Żydów, a Ormianin 10 Greków“. Otóż ten nasz gospodarz Ormianin za nocleg w swojej stajence kazał nam zapłacić więcej, niż wart cały inwentarz, który się tam zazwyczaj mieści. Oficer od żandarmeryi zaraz przybył, by nam złożyć swe uszanowanie i oddał się na nasze rozkazy, bawił nas długo rozmową, ale biedny Turek pomieścić nas lepiej nie potrafił. Przebyliśmy tę noc straszną w walce z owadami Wschodu o rozmaitych barwach i kształtach, aż proszek perski nareszcie nas od nich wyswobodził. Nazajutrz 11go po śniadaniu, które było plagiatem wczorajszej wieczerzy, bo składało się znowu z mleka i ryżu, udaliśmy się do Akbes. Dwugodzinna to podróż przez góry czarownie piękne, skały, urwiska okryte wyższym już nieco drzewostanem, oleandry, morwy, mirty i owe karłowate dęby z kolcami, a wszędzie rwiące górskie potoki, spadające w postaci szumnych wodospadów. Koło nich kobierce zielone, zasiane anemonami fijoletowemi, błękitnemi i krwawej barwy, hyacynty, lewkonije i krocie innych nieznanych mi kwiatów. Konie nasze kroczyły po najtrudniejszej drodze, przez olbrzymie bryły kamienne i odłamy skał, to znów przez szumiące potoki z taką pewnością i swobodą, jakby wyścigowy rumak Albionu po arenie. Żaden nie upadnie, żaden się nie potknie, byle jeździec nim nie kierował wcale, i zupełnie swoje losy jemu powierzył. Dla tego to zawsze utrzymuję, że koń w górach mędrszy od niejednego filozofa na dolinach. Przybyliśmy nareszcie do Akbes i zajechaliśmy do Monasteru OO. Lazarystów, Missyonarzy francuskich. Przeor konwentu, ojciec Destino, rodem z Marsylii, uprzedzony już listownie o naszem przybyciu, przyjął nas serdecznie i ugościł w klasztorze. Człowiek to bardzo sympatyczny i wykształcony. Co za miła niespodzianka, gdy po tylu trudach i niewygodach znaleźliśmy tu wygodne, obszerne i czyste pomieszkanie, pościel i jedzenie, choć wschodnie, ale składające się z niezliczonej ilości potraw, a przytem serdeczność, gościnność i uprzejmość. Istna to dla nas była oaza. Jest tu pięciu mnichów, trzech Francuzów, jeden Niemiec, a kucharz konwentu Polak rodem z Gdańska, od 22 lat kraj opuścił, ale po polsku jeszcze wcale nieźle mówi. W tej uroczej ustroni, konwent ten missyonarski wielkie cywilizacyjne oddał usługi, niosąc światło wiary katolickiej między ludność tutejszą. Miłe robią wrażenie te roje dziatek w muzułmańskich strojach, garnące się do tego konwentu, do tych księży, którzy ich katechizują. Ojciec Destino nachwalić mi się niemógł prawości, poczciwości i szlachetności charakteru ludności tej w Syryi, pośród której od lat wielu pozostaje. Są tu jeszcze tradycyonalnie przechowane cnoty, o których niestety my dzieci Zachodu już pojęcia niemamy, a nawet w nie wierzyć nie chcemy. Przełożony konwentu w Akbes wielkie położył zasługi, i klasztor niegdyś bardzo opuszczony teraz wyrestaurował, rozszerzył i z europejską wygodą urządził. Otoczył go wielkim ogrodem oliwnym, winogradowym i morwowym, z gór wodę akwaduktem sprowadził i urządził kilka zbiorowisk z wodospadami, które ogrody konwentu zaopatrują, słowem całość nadzwyczaj urocze sprawia wrażenie. Nam po przebytych trudach o tyle piękniejszą jeszcze wydawać się musi ta oaza, śród tych uprzejmych i gościnnych mnichów, śród okolicy jednej z najpiękniejszych w świecie, mimowoli nam się na myśl nasuwa wiersz:

„Jakże piękny ten świat boży!
„Jak ci ludzie są poczciwi!“

Dnia 12 Marca, po nocy spędzonej w wygodnych łóżkach, na śnieżno-białej pościeli, po wysłuchaniu mszy świętej w kaplicy klasztornej, udaliśmy się z czterma Arabami i trzema kundysami na polowanie. Deszcz lał przez noc całą, ale się wypogodziło nad ranem. Z tą zaimprowizowaną pogonką wzięliśmy miot w zaroślach niedaleko monasteru, i ruszyliśmy kilka słonek i znaczną ilość czerwonych kuropatw, których w tej okolicy taka jest mnogość, że zwłaszcza z pomocą dobrego wyżła, możnaby do wielkich dojść rezultatów. Ale zamiarem naszym było na grubszego polować zwierza, a więc bardzo mało zajmowaliśmy się kuropatwami. Zaraz w tym pierwszym miocie Brzostowski strzelał bez skutku na wielką odległość do dwóch wilków i do żbika, które się wymknęły nieobstawionem stanowiskiem. Ja postrzeliłem szakala, który padł na miejscu, ale się zerwał po chwili i skoczył w gęstwinę, z której go żadna siła ludzka już wydobyć nie mogła, bo o gąszczach tutejszych w Europie pojęcia nawet niemamy, jest to niczem nieprzebyta tkanina zarośli, kolców i cierni, bluszczem silnie okręconych. Zwierz tylko przez grzeczność z nich wychodzi, by się spotkać ze strzałem myśliwca, zmusić go nikt niezdoła, jeśli dobrowolnie opuścić niechce tej swojej niczem nie zdobytej twierdzy. Założyliśmy jeszcze miot jeden, w którym widziałem szakala i dwa żbiki, ale na taką odległość, że o strzale myśleć niemogłem. Miot trzeci wzięliśmy na stromym stoku góry, gdzie się spodziewano pantery. Tu polowanie na panterę jest równie niebezpieczne, jak w górach naszych Karpackich polowanie na niedźwiedzia, bo myśliwy zawsze jest narażonym na to jedyne możliwe niebezpieczeństwo, że zwierza niespotka. Od lat dwudziestu przeszło z tem niebezpieczeństwem na niedźwiedzia poluję, więc i nas ono dziś tu nieominęło z panterą. Oczywiście, że w miocie pantery nie było, a jeżeli była, to niewyszła na nas, a deszcz rzęsisty puściwszy się znowu, przemoczył nas jak gąbki, i zagnał na powrót w gościnne progi Monasteru.

Lasy w całej Syryi zupełnie są wyniszczone i podniosłego drzewostanu tam prawie nigdzie nie widać. Cały ten olbrzymi ocean gór i pustyń pokryty jest niskimi krzewami, i tysiącznemi roślinami, które bywają ozdobą cieplarni naszych, a wszystko ubarwione najpiękniejszymi kwiatami. Dla tego to po miastach tutejszych drzewo opałowe droższe jest o wiele niż u nas w Galicyi, to tylko szczęście, że przez wzgląd na klimat, niewiele go potrzeba. A co do gatunku jest ono bardzo liche jako opał: mirty, oleandry, cyprysy i palmy piękniej wyglądają w cieplarniach, niż na kominku. Przeszedłszy tak rozległe przestrzenie, śród tej karłowatej roślinności, zatęskniłem szczerze za widokiem naszych ramienistych dębów i buków, za naszą poczciwą białą brzozą, [a choćby i smukłą topolą.

Dnia 13 Marca deszcz lał jak z cebra, więc o polowaniu niemożna było myśleć, dopiero nad wieczorem nieco się wypogodziło i Brzostowski wybiegł śledzić kuropatwy, które się

ustawicznie wabiły w klasztornym ogrodzie i zastrzelił jedną. Przed zachodem słońca, we dwóch z Brzostowskim udaliśmy się, prowadzeni przez tutejszego Araba strzelca, do znanej jaskini, w której się znajdują hyeny, i tam mieliśmy na nie zasiąść. W obec piękności dzikiej, górskiej doliny, którąśmy przechodzili, bledną piękności gór Tyrolu, Styryi, i nasze czarowne Tatry. Rzecz dziwna, że hyena, ten zwierz brzydki, cmentarny grabarz z rzemiosła, wybrał sobie za siedzibę jedną z najbardziej uroczych na świecie miejscowości. Mieszka ona tu w istocie w jakimś prawdziwym ogrodzie bożym. Zasiedliśmy więc na skale, tuż nad otworem jaskini, i zaraz po zachodzie słońca usłyszeliśmy w głębi mruczenie, stąpania, potem ryk przeraźliwy i wycie. Długo to trwało. Z sercem bijącem, ze strzelbą przy ramieniu, a palcem na cynglu, oczekiwaliśmy ciągle chwili, w której się łeb hyeny z otworu ukaże, była to dla nas męka straszna, ale męka przyjemna. Przepraszam za ten paradox, ale sądzę, że każdy myśliwy go zrozumie. Bo czyż to nie jest rzeczywista męka Tantala, znajdować się o pięć kroków od nieznanego jeszcze zwierza, którego tak się zabić pragnie, słyszeć tuż obok siebie jego chód, jego mruczenie, jego oddech prawie, a nieprzyjść do strzału? Wszystko wreszcie ucichło, żadna hyena tej nocy z jaskini wyjść nie chciała, i my z rozpaczą w duszy, skarżąc się blademu księżycowi, który jasno jak słońce przyświecał, powróciliśmy do domu.

Dnia 14 Marca. Niedziela. Udaliśmy się rano na nabożeństwo, a po obiedzie wyszliśmy na ochotnika, by coś zastrzelić dla klasztornej kuchni. Kara Audżi bardzo silnie postrzelił wilka, ale że to zwierzyna wcale na kuchnię nieprzydatna, zaniechaliśmy za nim dalszej pogoni. Ja zabiłem zająca a Brzostowski kuropatwę. Około zachodu słońca Hulimka poszedł w moje wczorajsze ślady, i znowu z Brzostowskim udał się do owej jaskini. Księżyc świecił prześlicznie, ale hyena znowu z jaskini nie wychodziła, a co więcej milczała zawzięcie, dopiero po godzinnem może czekaniu usłyszał ciężkie kroki, i część głowy i grzbietu, ukazała mu się nareszcie. Sztuciec miał wymierzony i czekał stosownej chwili, gdy w tem Brzostowski, znudzony czekaniem, nie licząc na możliwy rezultat, dla zabawki zawabił, naśladując głos zająca. Widać, że hyena azyatycka nieobeznaną jest z głosem zajączka europejskiego, bo poznała jakąś zdradę, cofnęła się żywo do jaskini, by się już więcej nie pokazać, i tak Hulimka nieprzyszedł do strzału.

Dnia 15 Marca. Udaliśmy się w dolinę na daniele. W pierwszym miocie Hulimka, strzelec jego i Janowski chybili do wilka, a myśliwy Turek do szakala. Dalej na Hulimkę wyszedł na łąkę ogromny daniel łopatacz. Choć to strzelec znakomity, i tyle już nam dał dowodów celności swoich strzałów, jednak na widok tego nieznanego mu zwierza dostał myśliwskiej gorączki — za szybko strzelił i chybił. Kara Audżi także chybił do dwóch danieli, a Janowski do jednego Ja na odległość około stu kroków przestrzeliłem kulą z expressa daniela, który padł na miejscu, potem powstał i powlókł się w zarośla, zostawiając po obu stronach tropu obfite strugi farby. Puścił się za nim w pogoń strzelec Turkoman ze swoim psem, i obiecał, że postrzelonego zwierza dojdzie z pewnością. Doniesiono wieczorem do Monastru, że ten Turkoman go doszedł w istocie, ale go spożył ze swą rodziną i przyjaciółmi. Zabiliśmy jeszcze trzy zające, Brzostowski zabił trzy kuropatwy a Hulimka słonkę. Piękny mógł być rezultat dzisiejszego polowania, ale widocznie ktoś zaczarował strzelby europejskich strzelców.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MATERYAŁ DO DZIEJÓW WĘDRÓWKI NIEKTÓRYCH GATUNKÓW PTACTWA

PRZEZ

Karola Brzozowskiego.

Arab powiada: „ptak jestto kwiat latający, którego wonią jest spiew, jakże smutną byłaby ziemia bez kwiatów o liściach i bez kwiatów o skrzydłach, bez piękna, bez woni, bez wesela!“ Uwaga to słuszna, ptak z pewnością należy nie tylko do ozdób najpiękniejszych przyrody, ale jest i jedynem stworzeniem po człowieku, a obdarzony silnemi narzędziami głosu i bogatą gammą tonów i półtonów, umie zlewać je w całość, co harmonią wnika do duszy człowieka, który rozumie i rad słucha pieśni skrzydlatych bardów. Któż z nas nie lubuje się w spiewie słowika, kto dla niego, jeśli nie osiedlił się w bliskim sadzie, tak, że go w majowe noce słychać z okien, nie szedł sam lub w towarzystwie rodziny w odległe gaje, aby ucho popieścić harmonią spływającą do duszy? Spytajcie kmiotka, jak smutno mu byłoby iść za pługiem, gdyby mu odjęto spiewaka Najświętszej Panny? gdyby nie słyszał go, gdyby po głosie jego nie mierzył wysokości, z jakiej z pod nieba spływa nań pieśń błogosławieństwa i zachęty? W wielu okolicach wieśniak szanuje skowronka i uważa za grzech zabijać go lub niszczyć jego gniazda. Czemuż, niestety ta ochrona, na którą zasłużył sobie skowronek, nierozciąga się i do innych, licznych spiewaków bożych, a co smutniejsza, dla czego to uczucie poszanowania co dnia w ludzie naszym słabnie i poczyna się liczyć do przesądów? Wpływ to ducha czasu, co odzierając nas z poezyi, którą stara się wytropić w najgłębszych kryjówkach serc, na wszystkiem wyciska piętno materyalizmu i posuchy ducha. Zaiste, w legendzie o niebieskim płaszczu Najświętszej Panny, którym na miedzy kryje przed okiem drapieżców dziatwę spiewaka i paraliżem tyka rękę płaszcz ten opieki zdzierającą, więcej jest nauki, prawdy i miłości, aniżeli we wszystkich rozprawach materyalistów, pragnących lud oświecać zcierając z niego, jak się wyrażają, pył z czasów ciemnoty i przesądów.

Nie wiem co mieści jeszcze w sobie teka, z której wyszły niezrównane zapiski ornitologiczne hr. Kazimierza Wodzickiego. Niektóre z nich, jako dar autora a droga i pochlebna mi pamiątka, poszły ze mną daleko i opisem obyczajów skrzydlaczów naszych, napiętnowanym nauką i głębokością spostrzeżeń dopełniają mi i upiękniają obraz ojczyzny, który w duszy wyniosłem na obczyznę. Być może w świetnej tece zapisków ornitologicznych spoczywa jeszcze i skowronek; puść go w świat drogi nasz lubowniku przyrody, mistrzu badaczu lataczów! Nie ma pióra nad twoje godniejszego do podniesienia zasług spiewaka Najświętszej, a jeśli dotąd nie rzuciłeś nań oka, to przez nieograniczoną miłość dla Tej, którą z takiem poszanowaniem nosisz w głębi twej piersi, przypo-

mniawszy sobie, że nieraz skromny skowronek, piejąc hymn Matce Boleści, Opiekunce korony naszej, i w twoją smutną duszę wniósł pieśnią ukojenie bolu i pierwsze ziarnko nadziei, co rozrastając się krzepiło ciebie i niepozwoliło sobie wątpić; przez wdzięczność ptaszkowi za to, że dawał tobie to, co nam ludzie wydzierają, zajrzyj w skromne a pożyteczne dzieje mieszkańca zbóż polskich i opowiedz je nam twoim sposobem! I będzie co posłuchać, bo jeśli tyle nam dałeś nauki zdrowej, badając życie innych ptaków, ileż jej wyczerpiesz z żywota spiewaka Przenajświętszej. Przebacz to wezwanie, co z daleka do ciebie przychodzi, wiem czego żądam od ciebie i dla czego. Na jednym z twoich zapisków położyłem ten czterowiersz:

„Ze wszelkiem zwierzem ty będziesz
w przymierzu“ *).
Jako świat stara tej mowy jest głębia;
Ty w nią zstąpiłeś Bracie Kazimierzu,
Bo masz wzrok orła z prostotą gołębia.

Że miłą jest pieśń ptaka człowiekowi, tego dowodzi i ta, czarny cień na jego serce rzucająca okoliczność, że aby słyszyć pieśń w domu, wydziera ptaszkowi najdroższy jego skarb — wolność, a nawet posuwa okrucieństwo aż do oślepiania nieszczęśliwego więźnia!

Ptactwo nie tylko w przyrodzie jest ozdobą i narzędziem wesela i radości, bez których najpiękniejsze nawet lasy głuche i smutne są jak pustynie, (znam takie lasy w Albanii i Syryi, przebywałem je zawsze ze ściśniętem sercem), ale po zwierzętach czworonożnych leży w pierwszym rzędzie jako źródło obfitego, smacznego i zdrowego pożywienia. O ile to nasze zasoby zmniejszyłyby się, gdyby odjęto nam kurę, gęś, kaczkę i indyka? Coby powiedzieli smakosze, a głównie my myśliwi, gdyby znikły głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, słonki, kszyki, kaczki i tyle innego ptactwa, na którego wyrośnięcie, wyfarbowanie się lub przylot czekamy z niecierpliwością? — O ileby to zakres uciechy naszej łowieckiej zcieśnił się i ujednostronnił, gdyby zniknęło dzikie ptactwo? Co począłby rolnik, tracąc wprawdzie kilku rozbójników, dziesiątkujących jego drób, i psotników zrządzających szkodę w ziarnie, ale z nimi tracąc zarazem tysiące pożytecznych istot, bez których dzielnej pomocy, niczem częstokroć niedającej się zastąpić, jego pola i sady wystawioneby zostały na pastwę owadów i robactwa?

Wiemy, że część ptactwa, które spotykamy w naszym kraju, przebywa z nami przez cztery pory roku wszystkie przejścia naszego klimatu, inna zjawia się na wiosnę wcześniej lub później, lęże się, wychowuje i w jesień lub z początkiem zimy odlatuje do krajów cieplejszych, inna część ptactwa pojawia się u nas peryodycznie, i bawi czas krótki, popasając zaledwie u nas w dalekiej pielgrzymce, nareszcie są latacze, co nas odwidzają nadzwyczajnie rzadko, zagnane z daleka wichrami lub zabłąkane z powodów często nam nieznanych.

Nie myślę tu mówić o tem ostatniem ptactwie, które naturalistę więcej od nas obchodzi, ale sądzę, że wielki dział ptaków lęgnących i wychowujących się u nas, obudza dosyć ciekawości, co się z nim dzieje przez kilka miesięcy spędzonych po za naszym krajem, i dla tego ośmielam się opowiedzieć, co widziałem na obczyźnie, gdzie wielu skrzydlatych wychowańców Polski, jako starych znajomych młodości mojej spotykam. Z potrzeby ograniczę się do rodzajów mniej więcej obchodzących myśliwego, bo te znam z nazwiska, kiedy wiele innych gatunków tylko z widzenia. Zresztą spostrzeżenia moje jako nienaturalisty, luzem rzucone, podaję bez żadnej zarozumiałości za materyał tylko, w którym przypadkiem coś pożytecznego dla nauki znaleść się może.

Ptactwo wyłącznie owadożerne, w klimacie naszym przez kilka miesięcy pozbawione pożywienia, musiałoby zginąć i dla tego zawczasu opuszcza naszą ziemię, co mu na długo lodem ściśniętą i nakrytą śniegami skarbnicę żywności zamyka. U nas stałym obywatelem może być tylko ptak wszystko-żerny, gdy królestwo owadów dlań zaparte, w roślinnem jeszcze, choć nakrytem śniegami wynajduje ziarenko na ostach, zbiera reszty owoców po bezlistnych drzewach, szuka po lasach jarzębin, kalin, jałowców, z mozolną pracą rozbija sosnowe, świerkowe szyszki, żywi się listnymi pączkami drzew, podkopuje się pod głębokie śniegi, idzie pod nimi jak górnik pod ziemią, bronić się od głodowej śmierci trawką i nieraz śmierć znajduje pod strasznym śniegowym całunem, ciśnie się licznemi stadami pod domy człowieka i żebrze jałmużny u kupy śmiecia, tłoczy się pod stodoły, przed stajnie dla mizernego ziarenka, dla plewy i na bitych gościńcach jak nędzarz wygrzebuje ze śniegu w żołądkach koni karm przetrawioną, w bryłę lodu zciśniętą! Straszny to obraz rozpaczliwej pracy na chleb i walki o chleb, trwającej nieraz długie miesiące, a niestety, dla biednego ptaka powtarzającej się co rok i nieraz kończącej się okropną śmiercią całych pokoleń, wybitych głodem i mrozem! W iluż to okolicach na długo zniknęłaby kuropatwa, gdyby jej myśliwiec, w własnym interesie, nie przyszedł z pomocą? Nie dziwmy się, jeśli biedny latacz, co nie sieje, nie orze, na zimę staje się zuchwałym komunistą, lub przebiegłym złodziejem, podziwiajmy raczej miłość jego do ziemi, która go zrodziła — a miłość tak silną, że nie korzysta nawet ze skrzydeł, co uniosłyby go w dni kilka w kraj cieplejszy i obfitszy, jak unoszą wielu jego ptaków współbraci. I tym ostatnim ich pozorny kosmopolityzm przebaczmy, odpokutować go muszą tysiącami niebezpieczeństw, nędz innego rodzaju, często śmiercią a zawsze tęsknotą do ojczyzny, do której z taką skwapliwością i radością powracają.

Oprócz prostej kwestyi wyżywienia się, przyczyną pozornego kosmopolityzmu ptactwa jest organizm jego, niepozwalający mu znosić wielkiej różnicy pomiędzy dwiema temparaturami skrajnemi. Ptak nasz polski, co rodzi się, starzeje i umiera na naszej ziemi, wytrzymuje często różnicę do 70° (centigrade), a gdy ta w latach na szczęście wyjątkowych nieco wzrośnie, wiele gatunków naszego ptactwa do jednej czwartej, a nawet do jednej piątej swej liczby bywa zmniejszoną, jeżeli okolicami nie jest zupełnie zniszczoną.

Pomiędzy ptactwem roślinno-owadożernem, obchodzącem myśliwego, przepiórka znosi zaledwie czterdzieści parę stopni między skrajnemi dwiema temperaturami, z których najniższa jeszcze jest znacznie nad zerem. Wiem to na pewne, przez lat wiele zamieszkując Syryę zauważałem, że już w końcu Października poczyna ją nawidzać i bawi dość liczna, dopóki nie zniży się ku zeru temperatura nocy, i że wtedy opuszcza jeden z najbogatszych w żywność etapów, jakie znaleźć może w drodze swojej dalekiej na południe, ku zwrotnikowi. Jeżeli zimuje przepiórka w Syryi corocznie i kilka sztuk jej można na dzień upolować, zastanowiwszy się nad jej obfitością w Egipcie i Jemenie i nad tą okolicznością, że do tych krajów odrazu gęstemi stadami dąży, krótko tylko tu i owdzie dla popasu i wytchnienia zatrzymując się; to zdaje nam się, że zimująca w Syryi przepiórka nie może być przytoczoną na obalenie naszego mniemania. Na jednym równoleżniku z Bejrutem, w oko-

---

*) Z księgi Hijoba.

licach Bagdadu, cieplejszych od niego, nie ma w zimie przepiórek, bo tam co rok temperatura spada o parę stopni pod zero, często lód trzyma się przez dzień cały i stan taki trwa po kilka i kilkanaście dni bez przerwy.

A teraz po tych słówach kilku zajrzyjmy nieco w dzieje podwójnej co rok wędrówki przepiórek. Każdy myśliwy wie, że ptak ten na jesień gotuje się do pochodu, zbierając się częstokroć w bardzo liczne stada. Mnie samemu zdarzyło się wypłoszyć w Augustowskiem, z małego pólka zarosłego dzikiem prosem korpus z kilkuset sztuk złożony. Zwietrzony z daleka przez wyżła nie dotrzymał, porwał się cały, jak na komendę i zniknął mi z oczu. Takimi to korpusami ciągnie przepiórka do cieplic, podróżując w nocy, a w dzień zatrzymując się dla odpoczynku i posilenia się, a i dla tego, że nocą pokrywa się przed pościgiem drapieżnego ptactwa, któreby w dzień zadawało jej straszną klęskę. Przepiórka, o ile to przez wiele lat pobytu w krajach, przez które liczniej przechodzi, zauważać mogłem, ma swoje główne wielkie szlaki wytknięte, idące przeważnie przez obszary mniej więcej płaskie, nieprzerżnięte w poprzecznym kierunku pasem wysokich gór. Przyczyna tego jasna, wcześnie w jesieni i na wiosnę znacznie już naprzód posuniętą, góry pokryte są śniegiem, noce na nich są zimne, burzliwe; zamieć śnieżna, grady, ulewy z piorunami conocnymi są gościami szczytów gór wschodu, a gęsta mgła zawsze prawie na nich przewija się kłębami, lub leży czarnym całunem; — dla wszelkiego ptactwa trudna to zawsze droga a cóż dopiero dla przepiórki, która nie lubi temperatury pod zero spadającej. Idąc jednak z północy na południe, przepiórka nasza zmuszona jest przerzynać wysokie pasma gór w Rumelii i Anatolii, które biegną wszystkie z zachodu na wschód i stanowią szereg olbrzymich równoległych murów, często na wielomilowych długościach bez wyłomu; ostatnie ku niebu tych strasznych ścian wiązania leżą na nieboskłonie jak czarne koronki strzelnicowe starych zamków, lub wiecznym bieleją śniegiem. W linii owych głazowych zasiek bożych są tu i owdzie siodła, miejsca znacznie niższe z łagodniejszymi spadami, które pozwalają przejść z jednej strony ściany na drugą, do kraju mniej więcej płaskiego, do dolin pomiędzy ścianami gór zamkniętych. Naturalne te drogi zna człowiek — korzystały zawsze z nich ludy, zalewające najazdami swoimi stare państwo rzymskie, — zna je i ptactwo, i tymi to wyłomami przerzyna się i przepiórka przez zawady leżące na poprzecz kierunku jej pochodu. Zwrócić tu jednak muszę uwagę, że szlaki te górne służą stosunkowo dla małej liczby przepiórek i tylko dla najwcześniejszych ich oddziałów, co pewne w stałość pogody jesiennej, śmiałym rzutem przebywają zapory i ogromnie skracają swą drogę. Wkrótce po wojnie Krymskiej, w czasie budowy pierwszych linii telegraficznych w Turcyi, których wykonanie miałem sobie powierzone, polowałem często na przepiórki miejscowe na obszernej równinie między Sofią i Niszą. Pogody były stałe, sprzęty kukurydz były na ukończeniu, a miejsca po nich gęste, miękką trawą pokryte, były wybornem i wygodnem polem na kuropatwę i przepiórkę. Przejeżdżając raz siodło, przez które idzie droga na południowy spad pasma gór, spotkałem znaczną ilość przepiórek, które mój wyżeł spędzał wszędzie. „Przyjadę tu na nie jutro“, — rzekłem do towarzyszącego mi czausza. — „Nie znajdziesz ani jednej! z daleka to podróżny i daleko idzie — a spieszno mu, widzisz między naszemi przepiórkami nie zatrzymał się, bał się, żeby go nie namówiły za długo zostać się, bo naszym niepilno, mają jeszcze miesiąc czasu, ale tędy nie pójdą“. — „A którędyż ich droga?“ — „Równiną do Filipopoli, a stamtąd ich Maryca zaprowadzi nad morze“. — Czausz z rodu Albańczyk, myśliwy zagorzały z ogarami i lubiący polować na przepiórki z sokolikiem, długie lata jako żandarm po strażnicach gór robiący służbę, doskonale znał miejscowości i obyczaje zwierzyny i nieraz miałem sposobność sprawdzić trafność jego spostrzeżeń, on to zrobił mi ciekawą uwagę, że pasma gór przecinają w Rumelii tylko przepiórki najwcześniejsze, i że te iść muszą z północnego zachodu i to z bardzo daleka, bo nigdy mu nie zdarzyło się schwycić przepiórki cięższej na górnym przesmyku, zawsze były lekkie, z czego wnosił, że już były wycieńczone podróżą. Powiadał mi, że na wiosnę, gdy już od paru tygodni przepiórki pozajmowały miejscowe doliny, przychodząc do nich od morza, wtedy dopiero najpóźniejsze wędrownice przerzynają się górnym szlakiem i to nie każdego roku, a i przelot wiosenny zawsze jest słabszym od jesiennego. Miałyżby te same przepiórki powracać tędy przerzedzone? być bardzo może. Opowiadał mi czausz, że podchwycił był raz, i to najliczniejszy jaki mu się widzieć zdarzył pochód, który zaległ dość obszerną równinkę siodła, tak zmęczony, że się nie mógł porwać na skrzykła. Wciskał się w gruzy kamieni, w rozpadliny skał i pod gęstwiny jeżyn, dżygrą *(smilax)* oplątanych. Na szczęście biedactwa, nikt go w miejscu tem od wsi dalekiem nie spostrzegł, czausz tylko, ku wieczorowi idąc drogą, odkrył co się działo i w krótkim czasie napełnił torbę ręką nachwytanemi przepiórkami. Na wieść tę nazajutrz zbiegli się sokolnicy — zapóźno! ani jednej nie było, już przepiórki, prócz kilku tak zaplątanych w dżygrę i cierń żydowski *(paliurus)*, że się z nich wyswobodzić nie mogąc, same się pozdradzały rozpaczliwem trzepotaniem skrzydeł, które słychać było z daleka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAJĄC

PRZEZ

Kazimierza hr. Wodzickiego.

(Dokończenie).

Zajęczyca zimowlą zniszczona, weselem hulaszczem znużona, bywa nader często chuda jak szkielet, więc nic dziwnego, iż przy swym wrodzonym braku uczucia macierzyńskiego, zaniedbuje swój płód, a nawet go porzuca. Mimowolnie, nasuwa się myśl zbrodniczej lekkomyślności tej wyrodnej matki, gdy widzimy urodzony płód doryweczo, na śniegu, gdziekolwiek, z widocznem postanowieniem porzucenia go. Twierdzenia tego dowodem znaczna liczba malutkich podrzutków, leżących po lesie, szczególnie w porze ostrych przymrozków wiosennych. Tak jak ja uczynili to spostrzeżenie niezawodnie liczni leśnicy i myśliwi.

Od pierwszych dni zimowych sarna i zając chciwie pożerają liście rzepaków zimowych i piórka ozimin, do Stycznia widzimy poryte i podrapane pola, później coraz mniej znaków,

pozostawionych przez zwierzynę, w Lutym zaś i Marcu (mówię tu wyłącznie o śniegiem przykrytych łanach po zawalnej zimie), rzadko kiedy dostrzedz można żerowania pod lasami, a w końcu daje śnieg widok niczem nie dotkniętej, białej przestrzeni. Zmianę taką w żywieniu się zwierzyny łatwo sobie wytłumaczyć. W późnych zimowych miesiącach ozimina obumiera pod ciężarem lodowatego śniegu, piórka więdną i żółkną, pokryte są stęchlizną, której zwierzyna nie znosi do tego stopnia, że nieco spleśniałej koniczyny najgłodniejszy nawet zając nie ruszy. Wtedyto żywienie zwierzyny jest obowiązkiem hodowcy z rozmaitych powodów. Naprzód w tej porze ściąga zając do lasu, pędzony śnieżnicami i ostrymi wiatrami. Do tej jego biedy przyłącza się śnieg zlodowaciały ze skorupą nie dozwalającą mu grzebać nor i kryjówek, co tak chętnie czyni w miękkim śniegu. Następnie opuszcza zając pola, nie mogąc się żywić oziminami, chroni się do lasu szukając zrębów, kory i pączków. Dalej przezorne zajęczyce, chroniąc się w lesie, oczekują niecierpliwie konkurentów. Wreszcie unikają zające późniejszych mokrych śniegów i rozwilżonych pól. Wiadomo, jak długo w lesie zamróz trzyma, podczas gdy pola już dawno rozwilżone. Takieto przyczyny gromadzą zająca w Lutym i Marcu w lesie, a gdy rola podeschnie i ozimina się zazieleni, to znowu zajączki ruszają w pole, jeżeli je parkotnia nie powstrzymuje, zajęczyce bowiem nie odważają się wysuwać na gołe pola, pierwsze połogi odbywają w lesie, i ledwie w drugiej połowie Maja ośmieli się zajęczyca wsunąć do żyta, już dosyć wysoko wyrastającego z ziemi. W dobrze znanym lesie łatwo dostrzedz głodnej zwierzyny, jakoż nigdy się nie omyliłem. Gdy zając i sarna w dzień biegają po lesie, i znaczna liczba tropów jest na śniegu, to śmiało to można uważać jako prośbę o pokarm. W niejednym roku zdarzało się, iż podrzucałem w porze zimowej karmę nieruszaną, ale w Lutym i Marcu, gdy tropy wskazywały niedostatek pożywienia, zawsze nastarczyć jej nie mogłem. Niech mi tu wolno będzie wystąpić przeciw kosztownemu, niedbałemu i nieumiejętnemu żywieniu zwierzyny w naszym kraju. Czynią to zwykle gajowi, a ponieważ poddawanie karmy nie jest rzeczą łatwą, ani miłą, trzeba bowiem brnąć w śniegach, łamać skorupę i buty na szwank wystawiać, więc wykonują ten obowiązek swój niedbale, byle się go pozbyć, i uwiadamiają leśniczego, że pasza zadana. Zając wietrzy, ale nie górą, lecz po ziemi, nie podnosząc noska do góry, z tej więc przyczyny, jeżeli ocipka koniczyny, siana, grochowianki i t. d. nie stoi na jego drodze, po której co nocy chodzi, to z pewnością jej nie znajdzie, i karma będzie zmarnowaną. Trzeba zatem nie tylko te drogi odszukać, i tam paszę na drączkach wystawić, lecz też codzień rano je obejść i sprawdzić, czy spożyte, a nienaruszone przenieść na inne drogi zajęcze. Niekiedy zmienia zając swe weksle, lub też zaciekając się za żerem oddalił się znacznie od nich, więc wczorajszą drogę porzucił, a wydeptał nową, którą należy wyszukać i tam karmę wystawić. Wreszcie trzeba po każdej śnieżnicy ocipkę otrząść ze śniegu, zabrać w czasie słoty karmę pod dach i wysuszyć ją, aby mogła nadal służyć. Mokrej i na słotę wystawionej karmy zwierzyna z pewnością nie ruszy, równie też zaśnieżonej. Zadaniem naszem jest lokalizowanie zajęcy, czego dokonać możemy jedynie żywieniem ich, jeżeli w tym względzie zima jest pomyślną, bywają bowiem takie, w których zając do Lutego nie przyjmie pokarmu, a pamiętam śnieżne zimy z zającami tak głodnymi, że każdy swej porcyi koniczyny pilnował i biły się przy ocipkach. W pewnej zimie nawalnej rzekł mój nadleśniczy: „Niech Pan jedzie zobaczyć, jak zające pilnują swych restauracyi“, jakoż w istocie zastałem zające leżące o kroków kilkanaście od karmy. Nadmienić jeszcze muszę, że w porze rozpoczynającej się parkotni, emigruje nadwyżka samców zwalczona, pobita, z nadskubaną turzycą, bez nadziei znalezienia sobie samiczek. Wynosi się ona do sąsiednich lasów, szukając powodzenia w afektach miłośnych, i nie powraca już. Nic dziwnego, że pokonany w walce rywal, a przytem głodny wynosi się w sąsiedztwo w celu zaspokojenia popędu płciowego i żołądka. Poddawanie smacznej karmy w właściwych miejscach zachowa w rewirze niezawodnie wiele samców, które głód z pewnością na zawsze z nich wypędzi. Rzucanie paszy na śnieg jest bezpożytecznem marnowaniem jej, a poddawanie zboża z ziarnem kosztownem i nie odpowiadającem celowi, bo sroki, sojki i trznadle wybiorą ziarno w dzień, a na noc zostawią zwierzynie tylko jałową słomę. Krocie razy musiałem sam doglądać karmienia zwierzyny, przenosić siano z miejsca na miejsce, zanim zarząd leśny obznajomiłem dokładnie z warunkami prawdziwie pożytecznego żywienia zwierzyny. Na czynione wyrzuty była stereotypowa zawsze odpowiedź: „Nie chcą jeść“, ale troskliwy łowiec winien badać, dla czego to się dzieje i w jakiej porze, aby zapobiedz emigracyi zwierzyny i wygłodzeniu przychowku. Ileżto razy zdarzało mi się wywozić sześć lub ośm razy paszę, i zbierać ją nienaruszoną, a jednak w końcu trafiałem na dnie i miejsca, w których podwójna jej ilość nie wystarczała.

U nas nie tak rzecz się ma, jak w Niemczech. Tam jeden zając emigruje z rewiru, a inny natomiast przychodzi, u nas zaś z powodu nie dosyć jeszcze rozpowszechnionego zwyczaju hodowania zwierzyny taki emigrant już nie powraca, ani go też inny zastępuje. Z naciskiem przeto przypominam, iż karmienie w Lutym i Marcu jest podstawą chowu, nie tylko w celu utrzymania w rewirze zwierzyny, lecz także pomnożenia pokarmu u matek. W pierwszych zimowych miesiącach żywi się zwierz pozostałą leśną roślinnością, później oziminami i rzepakiem, dalej korą i pączkami, w końcu, gdy twarda skorupa pokryje śnieg, a spożywana gorycz kory wstręt już obudza, wtedy zapamiętale ugania za żerem, a gdy go w rewirze nie znajdzie, to go na zawsze opuszcza.

Dalsze moje uwagi odnoszę do okolic z łanami, łąkami suchemi, posiadających lasy i gaje, bo w mokrych miejscowościach zając ginie od motylicy, a w głębokich borach nigdy znaczniejsza liczba zajęcy przechować się nie da. Tu muszę umieścić spostrzeżenie moje, oparte na długoletniem doświadczeniu, choćby nawet ktoś temu zaprzeczył, że w miarę rozmnażania się sarn liczba zajęcy upada, co w ciągu życia mojego w wielu rewirach sprawdziłem. Powszechnie wiadomo, jak mało snu i spoczynku potrzebuje sarna, łazi więc nieustannie, drepcze, skubie po krzakach, ugania po zrębach, i tem ciągłe niepokoi zająca, wyrusza z kotliny i w końcu wypłasza z rewiru.

Dołączam niektóre pożyteczne dla chowu zajęcy wskazówki. Zajęczyce usuwają się z ogołoconych łanów do lasu, i tam się kocą, nawet w czasie opadania liścia chronią się w młodych zrębach, trzymają się leśnych okrajków, a nie wychodzą w pole. Kto wtedy bije zające, przekona się, że to kotne lub mleczne zajęczyce. Samce przeciwnie, o ile nie są parkotnią zajęte, pozostają do późnej zimy w polu, na ścierniach, wodomyjach, parowach i t. d. Od 1 Października do Nowego roku, jeżeli zima nie jest ostrą, zabijamy w polu samce, wyjątkowo tylko samice. W czasie jesiennego polowania na słonki, zastrzelimy pewnie jedną czwartą część samców, a resztę samic. Z nagonką w jesieni możemy śmiało strzelać zające wychodzące naprzód na strzelców, ociągające się nieza-

wodnie są samicami. Spostrzeżenie to stwierdziłem liczbami i przerażony byłem stosunkiem ich, polując bowiem na słonki w lesie i ubijając np. 40 zajęcy, znachodziłem między nimi przeszło 30 samic, a pamiętam kilka polowań około św. Michała, w których zabijano wyłącznie tylko samice i młodziki w krzakach. Natomiast w zimie, gdy zając już do lasu się schronił, okazywał się wręcz przeciwny stosunek. Toż samo dzieje się z zającami, zabitymi w jesieni na ścierniach i rolach. Zajęczyca od 15 Maja wynosi się w pole, kryje w zbożach i tam rodzi. Dawniej chroniły się w zielonych kartoflach, od czasu zaś pojawienia się zarazy, plam i usychania naci, stroni zając od kartofli, a zajęczyca zamieszkuje najczęściej krzaki, wychodząc jedynie w nocy na żer w pole.

Moje badania nie odnoszą się do okolic, ogołoconych z lasów, bo tam zajęczyca zmuszona przebywać w polu przez rok cały i kocić się, ale i tam nawet, gdziekolwiek znajdzie krzaczki, niezawodnie ukryje w nich swe dzieci.

Jeżeli w celu pomnożenia stanu sarn wystrzeliwamy napastliwe, nadliczbowe rogacze, to tem bardziej powinniśmy dziesiątkować samce zające, aby ratować srodze trapione zajęczyce od prześladowania, przepłacanego niekiedy życiem, a najczęściej bezpłodnością. W tej mierze ośmielam się podać następne wskazówki:

a) Nie strzelać nigdy zajęcy w lesie liściem okrytym.

b) Strzelać zające wychodzące ostrożnie, spiesznie, wkrótce po odezwaniu się naganki, a ochraniać pojawiające się później.

c) Polować ile możności w polu od św. Michała do Grudnia.

d) Wystrzelać zbytecznych konkurentów na wiosnę, gdy za samicami uganiają.

Przyznaję się szczerze do gorącej z oburzenia krwi, gdy widzę na wiosnę zajęczycę, prześladowaną przez kilku samców, bliską często zupełnej prostracyi, mimo jednak przeświadczenia o koniecznej potrzebie wybijania nadliczbowych a bezlitośnych prześladowców, nie mam odwagi stanąć wbrew Ustawie. Jeżeli dozwolonem jest w Niemczech fachowym leśnikom wybijać jałowe, stare kozy, uwodzące i wysilające młode rogaczyki, dla czegóżby u nas Ustawa nie mogła pozwolić wystrzeliwać owe tak wielce szkodliwe samce z pewnemi wszakże zastrzeżeniami. Tu się omylić nie można, nie trzeba szukać ani rogów ani pendzla, zajęczyca idzie naprzód, zające za nią, a już same ruchy znamionują ich dosadnie. Śmiało mogę twierdzić, iż w przeciągu życia mego mogłem był zastrzelić tych wielkich szkodników kilkadziesiąt. Zarazy wstrętne i szkodliwe, panujące w rodzie zajęczym, wynikają z niestosownej liczby samców, z rozgorączkowanych nad miarę, a nie zaspokojonych temperamentów. Barwa i układ słuchów, chody i skoki nie mogą służyć za podstawę rozpoznawania płci, nader to łudzące i niepewne cechy. Kilkuletnie doświadczenia, robione w Olejowie, przekonują mnie, że siwe zające były samcami. Podczas jednej srogiej zimy, gdy ściągnęły one do lasu w nader znacznej liczbie, uprosiłem mych towarzyszów, aby rude zające przepuszczali, a siwe tylko zabijali. Cóż się okazało? Połowa tych rzekomo siwych starców była płci żeńskiej, i musiałem rumienić się z powodu takiego rezultatu polowania.

Też same uwagi odnieść należy do chowu sarn. W Lutym i Marcu są one ciężarnemi, wtedy jedynie pokarm i solnice wyżywić mogą matkę i noszony przez nią płód, oraz przysporzyć jej mleka. Bez takiej pomocy sarna chudnie, wydaje na świat niedorodne sarniątko, nie posiadające dostatecznych warunków życia i rozwoju. Zdarza się nieraz, co też często dostrzegałem, że zdrowe i dorodne matki rodzą już w Kwietniu, często zimnym i słotnym, wówczas nie mając dosyć pokarmu, nie wychowują młodych. Pamiętny mi rok wyjątkowy, w którym kilka kóz urodziły na śniegu jeszcze, i nie były w stanie dzieci wyżywić, więc też z każdym dniem bardziej schły, młode z coraz większem wysileniem podążały za matką, wreszcie istne szkielety zginęły z niedostatku a raczej ostatecznej nędzy.

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

BÓBR.

(Ciąg dalszy).

Wszelka praca bobrów tak ściśle się wiąże z ich zwyczajami i potrzebami, iż czyniąc o nich wzmiankę, daje się obraz ich życia. Jak największa część gryzoniów są bobry w nocy tylko czynne, pracują jednak w ustronnych miejscowościach, gdzie ich człowiek nigdy nie niepokoi, również za dnia. „Wkrótce po zachodzie słońca, opowiada Meyerinck, opuszczają nory z głośnym świstem, i z hałasem rzucają się w wodę. Pływają przez chwilę w pobliżu domów, pod wodę równie szybko, jak z prądem, i pojawiają się w miarę uczucia bezpieczeństwa, z nosem i czołem lub z całą głową i grzbietem ponad powierzchnią wody. Gdy nic im nie grozi, wychodzą na ląd, i idą 50 kroków lub też dalej od rzeki w celu żerowania lub ścinania budowlanego drzewa. Oddalają się od domów płynąc nawet pół mili, wracają jednak zawsze tej samej nocy. W zimie też wychodzą na żer, ale czasem ośm do czternastu dni nie wychodzą z siedzib, i żywią się korą wierzbową, zniesioną w jesieni do nory, którą otwory od strony lądu są zatkane“.

Gałęzie grubości kilku centimetrów tnie bóbr z łatwością, pnie ścina, obgryzując je naprzód w jednem miejscu na około, a potem ostatecznie ze strony zwróconej do wody, do której w końcu spadają. Ślady jego pracy widoczne są w niezliczonych, łuskowatych nacięciach tak gładkich i ostro odbitych, jak gdyby stalowem narzędziem były wykonane. Zdarza się, że bóbr ścina nawet pnie grubości człowieka. Naprzód ogołacane bywają drzewa z gałęzi, następnie rozdzielane w pożądane części, użyte jako pale, gałęzie zaś i liście jako ściany w budowiskach. Najchętniej wybiera bóbr wierzby, topole, osiki i brzozy na żer i jako materyał budowlany, rzadko ścina olchy, wiązy i dęby, lubo i one idą pod ząb jego. Jedynie w celu ścinania drzew i żerowania wychodzi na ląd, z wielką jednak ostrożnością i na czas krótki.

„Przy zmroku, mówi Dietrich aus dem Winkell, który robił spostrzeżenia na bobrzycy z młodymi, wypłynęła szybko cała rodzina. Naprzód matka sama wyszła na ląd, i wsunęła się po chwilowem wietrzeniu, z ogonem jeszcze w wodzie zanurzonym, do wikliny. Szybko w jej ślady poszło troje młodych, wielkości niedorosłego kota. Zaledwo zanurzyły się w gąszczu, odezwał się donośny odgłos szybkiego gryzienia, a po kilku minutach spadło drzewko. Szybszym jeszcze i wyraźniejszym stał się potem ów głos, cała bowiem rodzina zajętą była gorliwie obgryzaniem gałęzi, a może też zaraz na miejscu spożywaniem kory. Po chwili pojawiła się stara z jednym końcem wierzby w pysku, ale idąc czterma łapami. Wnet ukazały się wszystkie młode za nią po obu stronach wierzby, usilnie pomagające w spuszczaniu jej do wody. Po krótkim wypoczynku chwyciło ją znowu całe grono w pysk, i szybko, bez odpoczynku popłynęły z nią tą samą drogą, którą przyszły". — Tschudi opowiada: „Robiłem spostrzeżenia w Moest, na dessauskiej granicy. Dozorca rewiru, znany i zdolny człowiek, spostrzegł pewnego roku w Lipcu, idąc wysokiem wybrzeżem rzecznem, że coś ku niemu płynęło. Ponieważ mógł się skryć w krzakach i wiatr wiał pomyślny, więc spokojnie wyczekiwał, co się dalej stanie. Nie ściemniło się jeszcze zupełnie, gdy po punktach nosowych na powierzchni wody poznał, że to były bobry. Płynęły ku przeciwnej stronie, wyszły na brzeg, i wsunęły się między wierzby. Gdy poczęły gryść, oddalił się ostrożnie, i doniósł o tem memu bratu. Wezwano i mnie. Postanowiliśmy przyszłego wieczora rozstawić się u brzegu, nie w celu strzelania, lecz badania. Dano mi stanowisko, gdzie wczoraj wyszły bobry na ląd. W zmroku pojawiły się, i wyszły, naprzód matka sama z zwieszonym jeszcze w wodę ogonem, wietrząc przez chwilę. Spiesznie szły za nią młode. Dało się słyszeć gryzienie, wnet opadło drzewko, głos stał się mocniejszym, bo wszystko było zajęte obgryzaniem gałęzi i kory. Był to piękny wieczór letni, księżyc w pełni. Po chwili ukazała się stara z końcem wierzbowego drzewa w pysku, pomagały jej młode w niesieniu do wody, spiesznie i bez wypoczynku płynęły z zdobyczą tą samą drogą, którą przyszła, ale ani ja, ani moi towarzysze nie mogli z powodu wyginania się koryta rzeki dostrzedz, gdzie ostatecznie pozostała. Zdaje się, że składała zdobycz w rewirze dessauskim, gdzie nam nie wolno było ją badać, w naszym rewirze nie miała domu, chociaż na naszem wybrzeżu znachodziliśmy obgryzione drzewka. Ponieważ nie płoszono owej gromadki, więc pozostała aż do jesieni. Gdy potem matkę zabito, młode pojawiały się tylko pojedyńczo, ale nie opuściły miejsca. Jedno zabił strzelec, drugie złapało się w żelazie denkowem, trzecie umknęło. Odtąd nie widziano tam bobra".

Według Müllera nie zjadają bobry wszystkiej kory, większą część chowają pod wodą jako zapas na zimę, na ten cel wtykają ją u spodu grobli między kloce. Głodne częściami wynoszą na brzeg i jedzą. Bóbr jest zwierzęciem przeważnie wodnem, nie chodzi nigdy, gdy może pływać, a na lądzie nie czuje się swobodnem. Buduje przeto domy przy samej wodzie, i wchodzi do nich przez podziemia, z których jedno wiedzie do domu, drugie do wody, ale tak głęboko, że się lodem nie ścina. Zawsze przeto może się dostać do zapasów i do domu, nie będąc widzianym z lądu. Domy są okryte, w górze sklepione i w połowie tak wysokie jak długie. Ściany bywają nieustannie gałęziami i mułem wzmacniane, a podczas ostrej zimy twarde jak kamień. Każdy dom ma więcej mieszkańców, których legowiska są przy ścianach. Wszystkie te jednak zapobiegające roboty są bez pożytku wobec wypróbowanych podstępów sidlarzy-kłusowników. Nawet w zimie nie są bobry bezpieczne. Myśliwi uderzają mocno w lód, i z odgłosu wnoszą, czy są blisko otworu. Gdy je znajdą, wyrąbują lód i zatykają otwory, aby bobry nie mogły umknąć do wody. Następnie dążą do brzegu, i idą za biegiem podziemi bobrowych, często 30 do 35 stóp długich, a stojąc na straży u otworów, łowią bobry na pewne. Praca to ciężka i męcząca dla nich, a cena bobra dosyć niska nie opłaca jej. Przy całej tej robocie unikać trzeba starannie jakiegokolwiek krwawienia, w takim bowiem razie bobry przerażone rzucają się do wody, i już się złowić nie dają. Zwykle w lecie opuszczają bobry swe domy, lubo często w którym z nich pozostaje matka z młodym. Stare bobry koniecznością w domu nie zatrzymane, zamieszkują w wodzie, i pływają tam i nazad aż do Sierpnia, a wtedy wracają do domów. Zdarzają się bobry nie budujące domów i tam, lecz na wzór szczurów, z którymi łączy ich pokrewieństwo, mieszkają w jamach podziemnych. Są to zawsze samce, i często po kilku ich zamieszkują taką jamę. Sidlarz rad, gdy się z nim spotka, bo łatwo go złowi. Mieszkania bobrów są zawsze ponad groblą, ile możności na południe, w pobliżu brzegów. Od strony wody znajduje się otwór powietrzny, który w zimie według Buffona spuszczony bywa spadzisto, tworząc wychód pod lodem. Gdy woda się wciska, mają osobny otwór do ucieczki, a gdy ona zbyt grubo zamarznie, rozgryzają lód, i grzebią sobie jamy w namule. Mieszkań używają przez wiele lat, dobudowywują nowe. Tak powstają osady. Pustelniki czyli trutnie budują pojedyńcze jamy, jak wydry. Pracują rozumnie, przemyślnie, łącznie, a całem usiłowaniem utrzymać wodę w pewnej mierze, bo bóbr jest zwierzęciem wodnem. Stawiają straże, ostrzegające uderzeniem ogona o wodę lub świstem, nadpsute budowy naprawiają gałęziami, pniami, ziemią, kamieniem.

Dokładniejszą wiadomość o bobrach daje Brehm: „Hodowałem bobry, które urządzeniem krużganków zniewoliłem do budowania domów. Oswoiwszy się z miejscowością i ruchem koło niej, wychodziły owe bobry już w ostatnich godzinach popołudniowych z swych nor do roboty. Zasadzone drzewa przenosiły nad podrzucane, i zawsze je ścinały. — W tym celu siada bóbr przy drzewku, i ogryza go tak długo w koło w jednem miejscu, aż spadnie, do czego przy wierzbie lub brzozie 8 cm. objętości pięć minut wystarcza. Następnie chwyta bóbr ścięte drzewo zębami od grubszego końca, podnosi głowę i wlecze go. Niekiedy się zdaje, jakoby chciał brzemię zarzucić na grzbiet, nigdy się to jednak nie dzieje. Gdy drzewko jest małe, niesie je bóbr bez wypoczynku na miejsce przeznaczenia, gdy zaś cięższe, posuwa je z przestankami silnem popychaniem głową. Gałęziste drzewka bywają naprzód starannie opatrywane, a w razie potrzeby na kawałki pocięte, niepotrzebne sęki wygładzone, wszystkie kawałki zawleczone do wody, i tu z kory odarte, lub w spiżarni przechowane. Tylko odartego z kory drzewa używa bóbr jako materyału budowlanego, wyciąga go z wody, wlecze do najbliższego domu i umieszcza odpowiednio. O prawidłowem użyciu materyału nie ma dostatecznych wskazówek. Z rozwagą zabiega wszelkim potrzebom, bez względu jednak na normalny jakiś układ i porządek budulcu. Jeden drąg leży horyzontalnie, drugi ukośnie, inny prosto, niejeden sterczy jednym końcem daleko poza ścianą, inne są całe ziemią pokryte. Następują ciągłe poprawki, powiększenia, zmiany. Moje wychowanki wygrzebały sobie nieckowatą dziurę przed

ujściem krużganku, utworzyły z wyrzuconej ziemi wokoło mocną, wysoką i zbitą tamę, i wyłożyły grunt niecek długiemi, drobnemi trzaskami, które umyślnie na ten cel połupały. Dalej sporządziły dla ujścia krużganku pokrywę z gałęzi, poczem podniosły tylną część ścian, pokryły je kopulastym dachem, a gdy wszystko było skończone, naniosły na wierzch ziemię. Potrzebne do tej pracy przedmioty jak: ziemię, piasek, glinę i muł znosiły pyskiem i rękami, a ubijały je wyłącznie ostatniemi. Kawałki trawnika, tłustą gliniastą ziemię, oddziela bóbr bryłami, używając do tego rąk i zębów, chwyta je zębami, przyciska z dołu rękami, i wlecze postępując na tylnych łapach, od czasu do czasu jedną z przednich się podpierając, rozważnie ku budowli. Miałką ziemię i piasek wygrzebuje, zgartuje w kopczyk, podkłada obie dłonie pod niego, i popycha naprzód, w potrzebie nawet na kilka metrów. Ogon służy przytem chyba do utrzymania równowagi, nigdy zaś jako kielnia. Jak u najwiekszej części zwierząt, jest właściwie samica budowniczym, samiec zaś dostawcą i pomocnikiem. Oboje pracują w ciągu całego roku, nie zawsze jednak z równą gorliwością. W lecie i napoczątku jesieni bawią się raczej, nie budują, przed nadejściem ostrej pory przeciwnie pracują wytrwale przez całą noc. Mają, jak świadczy podanie E x i n g e r a, nader delikatne przeczucie zmian atmosferycznych, i według możności przygotowują się do nich. Chowane przez Exingera i trzymane w dosyć dużym stawie bobry żyły bardziej jak moje wychowanki według modły swych wolnych współbraci, nie budowały wprawdzie domów, wygrzebywały sobie jednak wielkie i obszerne nory, i urządzały komory, wyłożone drzazgami, w których przepędzały całe dnie, a przy silnym wietrze i noce. Gdy się woda podnosiła lub ich mieszkania zalewała, wygrzebywały sobie spiesznie nową norę ponad poprzednią, a gdy spadła, wygrzebywały natychmiast niższy chodnik, a jeżeli się zdarzyło, że warstwa ziemi zasypała komorę, naprawiały szkodę połączonemi siłami zaraz w następnej nocy. Jedne zajmowały się rozkawałkowaniem potrzebnego do tego celu drzewa, inne dostarczały na miejsce budulcu i kładły go w różnoraki sposób, gdy druga część rodziny zatrudnioną była wydobywaniem mułu z wody, mięszaniem jego z trzciną i korzeniami roślinnymi, aby tą mięszaniną nałożony stos drzewa spoić, i wszelki otwór zatkać. Przed nadejściem mrozów wciągały bobry wszystkie gałęzie wierzbowe i topolowe do stawu, wciskały grubsze i silniejsze pniaki w ukośnym kierunku z koroną zwróconą w górę, jeden obok drugiego, w muł, i splatały je gałęziami, które w różnorakim kierunku kładły na nie tak, iż ta ich budowa podobną była do spojonej tratwy i stanowiła plecionkę, opierającą się najgwałtowniejszym burzom. Pewnego wieczora pojawiły się jak zwykle poza swoją komorą, i nagle zabrały się do szybkiej pracy, lubo powietrze zdawało się być jak przedtem pogodne, i wlokły pnie do stawu. W przeciągu jednej nocy sprowadziły do wody 186 pni, 2 do 3 metrów długości, 8 do 11 cm. grubości, a w 24 godzin cały staw zamarzł i pokryty był już lodem na 7 cm. grubym".

Gdziekolwiek w Europie obecnie są bobry, już one nie mając należytego spokoju, nie budują domów, lecz jamy, jak wydry, ale głębsze, pod stromymi brzegami tak blisko wody, że ogon w niej zanurzony. Wygrzewa się bóbr chętnie na słońcu, gdy nie ma brzegów po temu, to spoczywa na drzewach lub kładzie na krzakach obgryzione pnie, i na nich się wylęga z ogonem zanurzonym w wodzie. Mimo swej przezorności zasypia często tak twardo, że myśliwy może się doń zbliżyć. Na wiosnę podczas puszczania lodów lub powodzi uchodzi na wierzby, na wybrzeża skalne, często w pobliżu mieszkań ludzkich, i siedzi tam tak twardo, że czasem nawet strzał chybiony go nie poruszy. Zresztą nigdy bóbr za dnia nie pływa i nie żeruje, może to się dzieje tam, gdzie jest wcale niepłoszony. Tylko w spokojnej wodzie z rozkoszą się kąpie. Nie chętnie opuszcza miejsce, i chodzi zwykłemi drogami.

Nie ma już dzisiaj w Europie bobrów swobodnie żyjących i mnożących się na wolności, hodują je tylko jak np. w Helbrunn, Schoenau, w Rothenhof w Czechach, w Mödling. Tu badał je Dr. F i t z i n g e r, i podaje o nich ciekawe szczegóły. Utrzymywał tam Exinger przez 6 lat bobry w stawie ogrodzonym. Budowały one sobie na dwie stopy głębokości pod wodą kanał, 6 do 18 stóp długi, który prowadzil do komory, rozdzielającej się na kilka izb Bezpośrednio na powietrze idącego wyjścia nie było, zawsze pod wodą. Przy wyższym stanie wody budowały natychmiast kanały ponad dawnymi, a przeciwnie pod nimi, gdy woda spadała. Zawsze otwory były pod wodą. Domy były wewnątrz czyste, bobry wypróżniały się tylko w wodzie. Komora wyścielona była drzazgami i młodemi drzewkami, cały dzień prawie przebywały w domach, rzadko pojawiały się zewnątrz nich. W nocy nosiły regularnie korę do spiżarni tak, że jej miały dosyć na kilka dni. Parowanie się ich nader komiczne, odbywało się w końcu Lutego, i zapowiadało się krótkim mrukiem. Samiec pędzi przez chwilę za samicą pod i nad wodą, nagle podnoszą się oboje prosto w wodzie do połowy ciała, i tańcują objąwszy się przedniemi łapami po nad wodą, przyczem ciągle biją w takt ogonem, a tylnemi nogami przebierają. Po sześciu tygodniach rzucała samica w domu dwoje do trojga owłosionych, ślepych młodych, które po ośmiu dniach przewidziały, i z matką wieczorem do wody wychodziły, pływały i nurzyły się. Po trzech latach żyją samodzielnie, oddalają się od starych i budują własne domy. Jedna rodzina nie znosi w swym domu drugiej. Gdy deszcz zepsuł chodniki, to zaraz w nocy naprawiają, zakładają gałęzie, inne znoszą namuł, mięszają go z sitowiem i korzeniami, i za pomocą łap, pyska i piersi wciągają i wtykają w uszkodzone miejsca. Podłożone w jesieni pnie 20 do 30 stóp długości, 3 do 5 grubości ciągnęły w nocy do największej głębi stawu, i wkładały końcami w szlam. Wystające z wody wierzchołki splatały, i w krzyż układały nowe pnie nad pierwszymi, splatając gałęzie obu. Ta plecionka służyła za pożywienie w wodzie.

Nader ciekawe wiadomości o bobrach daje Pietruski w swoich szacownych dziełach: 1. Historya naturalna, Lwów 1853. 2. O niektórych rzadszych zwierzętach ssących, Lwów 1869. „Długość ciała bobra $2^1/_2$′ — 3′, ogona1′. Z wierzchu jasno-kasztanowaty w słomiane wpadający, pod spodem jaśniejszy, łuskowaty, ogon zielonkowaty. Mieszka w bardzo małej ilości nad Bugiem koło Zęgrza, Terespola i Carogrodu, a mianowicie w państwie Radotycze nad Wiernią. W r. 1838 byłem przy rozczłonkowaniu samicy starej tam ubitej, którą dla gabinetu lwowskiego wypchano. Było w niej dwoje małych niedojrzałych wielkości myszy, były w gabinecie aż do pożaru uniwersytetu w 1848 r. Pan Redik aptekarz w Krakowie przesłał mi 8 Lutego 1846 r. następne wiadomości o bobrach mieszkających nad Bugiem: Gdy niegdyś byłem mieszkańcem Warszawy, zdarzyło się w r. 1822 na wiosnę, gdy lody na rzekach puszczały, od chłopa gajowego z pod Zegrza w bliskości zjednoczenia Bugu z Narwią kupić bobra

strzałem ubitego. Celem kupna był tak zwany strój bobrowy *(castoreum)*, który zwłaszcza w swym czasie bardzo był używany do lekarstw, a żeśmy go w znacznej ilości znaleźli, przeto w następujących latach 1823—25 dwa bobry od tegoż przyniesione kupiono. Z opowiadania gajowego dowiedzieliśmy się, że od lat kilku robił polowanie na bobry w czasie, gdy Bug i Narew lody zrzucają, wtedy bowiem te zwierzęta będąc ze swoich kryjówek spłoszone, ratują się na większe kry, a ta właśnie chwila służyła mu do ubicia takowych, bo w lecie, chociaż znał ich kryjówki poniekąd, jednakże za ukazaniem się ludzkiem z największą szybkością znikały tak, że ich z bliska znachodzić nie był wstanie. Ostatnią okoliczność pan Obrubski, niegdyś aptekarz, w Terespolu nad Bugiem mieszkający, potwierdził. On także mając niezawodne przekonanie pobytu bobrów, zwłaszcza gdzie na pożywienie kory olszowej i wierzbowej wychodziły, tamże całemi nocami czas długi robił na nie zasadzki, atoli zawsze bezskutecznie, zaś gdy której nocy nie czatował, wtedy nazajutrz z pewnością niemal znajdował obgryzione drzewa, a czasem drzewka znacznej grubości zębami ścięte. Jednakże udało mu się raz nabyć młodego bobra ułowionego żywcem, i tegoż przez kilka miesięcy utrzymywał w sadzawce. Na nim potwierdził bystrość wzroku i węchu tych zwierząt, albowiem za zbliżeniem się człowieka zaraz się zanurzał, podrzucone pokarmy z wspomnionych kor lub ryb skrycie pożywał, a niekiedy miał się odzywać głosem mocnym, smętnym (ztąd zapewne urosło przysłowie: spłakał się jak bóbr). Jak wyżej wspomniałem o kupnie bobrów, tak też znowu w r. 1826 tenże gajowy przyniósł bobra, ale żeśmy stroju znaczny zapas posiadali, przeto odszedł mówiąc, że go odprzeda kapelusznikowi. i odtąd nie widziałem go więcej. Wzmiankowane trzy bobry były w wieku dorosłym, każdy około 30 funtów mógł ważyć, cechy ich zgadzały się z opisem pana prof. Dra Jarockiego, prócz następujących zboczeń. Ciało jego było wprawdzie dwoistą sierścią pokryte, ale tylko na podbrzuszu, zaś grzbiet i boki jednostajną w dotknięciu miękką sierścią opatrzone. Ogon nagi i twardy, brudną, zielonkowatą skórką niby w łuszczki pomarszczony. Przy rozczłonkowaniu znaleźliśmy w słabiznach cztery worki, w dwóch była tłuszcz skrzepła do gęsiej podobna, zaś drugie dwa woreczki były napełnione strojem bobrowym ważącym 5 do 7 łutów, który posiadał wszystkie własności stroju sybirskiego. Wreszcie nadmienić muszę, cośmy z mięsem uczynili, z podania wiadomo nam było, że ogon był niegdyś przysmakiem na stołach pańskich, ale nie mając wskazówki do przyprawiania, ugotowaliśmy go z jarmużem, i w samej istocie była to tłustość biała, jędrna, bez kości, i bardzo smaczna, ale balsamicznego zapachu, z zioberkow zrobiono potrawkę z miodownikiem, której smak był wyborny. A że mięso w ogólności było tłuste i poniekąd do wieprzowego podobne, przeto też resztę zamarynowano i urządzono jak szynkę, mięso wskróś całe przejęte było wonią balsamiczną. W końcu futro oddano kuśnierzowi, który powyrywawszy długie włosy wyrobił śliczny kołnierz do płaszcza.

Zastanawiając się nad pobytem bobrów w naszym kraju, przypuścić trzeba, że nad Bugiem główne siedlisko mają, lubo wyżej wzmiankowane ubito pod Serockiem (w Zegrzu), gdzie Bug łączy się z Narwią, jednakże dotąd nie słyszeliśmy, ażeby się w ostatniej rzece bobry znajdowały. A zatem te, któreśmy zakupili, jako i te, które pod Warszawą widziano, równie jako i ten w r. 1830 pod Elblągiem zabity, zapewne z Buga wypłynęły. Jeszcze i to przypuścić potrzeba, że ten zwierz w kraju naszym nie jest taką osobliwością, jak powszechnie mniemają, brak tylko zajęcia się nimi zostawia świat naukowy w niewiadomości. Co także wprawdzie z różnych przyczyn pochodzi, głównie że te zwierzęta mało kiedy oku ludzkiemu się pokazują, gdyż wychodzą na pożywienie tylko szarą godziną, powtóre, że u nas choć zrobi ktoś nawet największe odkrycie, wtedy nie postępuje dla pozyskania chwały trybem Francuzów, Anglików i Amerykanów, ogłaszając takowe publicznie, ale starannie wszelkie odkrycia zamilczają się, i w samej rzeczy nie wiadomo, czy to przypisać egoizmowi, czy niedbalstwu. Obawiać się przecież należy, ażeby gdy starania prywatnych właścicieli w braku zwłaszcza opieki rządu nad tą cząstką ekonomii krajowej nie mogą wstrzymać popędu włościan znacznym zyskiem nęconych (płaciliśmy po 2 dukaty za jednego bobra) do polowania bezporządnego na bobry, takowe zupełnie wytępione nie zostały, i zdaje się, że tylko surowe w tej mierze przepisy i zarządzenie wykonania tychże ze strony rządu, wyniszczeniu tych zwierząt zapobiedzby zdołały.

Bóbr ma 20 zębów t. j. dwa potężne, szerokie. wystające, żółto-brunatne, gryzące u góry, i dwa u dołu, w szczękach 8 trzonowych, po cztery z każdego boku. Nogi pięciopalczaste, tylne grube i dłuższe od przednich mają palce pletwówką spojone, pazury ostre i długie. Głowa w porównaniu do ciała mała, oczy i uszy małe, pysk tępy, ciało z podwójnem futrem, ogon spłaszczony, podługowaty, łuską okryty. Pod ogonem woreczki z gruczołami, w których się sławny strój znajduje.

Bóbr ubity w Radotyczach w r. 1838 miał długości $2^1/_2$ stopy, a ogon zielonkowaty, niby w łuski pomarszczony. na 1 stopę. Ważył około 30 funtów. Ciało jasno-kasztanowate, na krzyżu i po bokach jednostajną, miękką szerścią pokryte, na podbrzuszu zaś podwójne futro słomianego koloru. Bóbr ten kosztował 20 złr. — Bobry należały dawniej do pospolitych, żyły nad brzegami wszystkich rzek, również przy stawach i bagnach, jak dziś szczury. Dawne przywileje, darowizny, zamiany, kupna ciągle o nich wspominają. Stały też pod opieką ustaw i zwyczaju. Czacki pisze, że przywileje z XIII. w. świadczą o egzystencyi urzędników bobrowych nad Nidą i Narwią, wspomina o rejestrze bobrów z r. 1229 w Księstwie mazowieckiem. Widać w tym inwentarzu, że te bobrownie, bobrowe gony czyli żeremie były porządnie prowadzone i tak dobierane stada, aby były jednego koloru. Szczególnie za Pułtuskiem była osada czyli żeremie czarnych bobrów *(nigricini castores)* sztuk 251. Statut litewski rozciągnął i nad nimi swoją opiekę. W następnych wiekach poczęły stopniowo ginąć, jednak jeszcze na początku tego wieku znajdowało się ich niemało nad brzegami Bugu, Narwi i Sanu. Od r. 1828—1838 już tylko pojedyńcze kolonije żyły nad Bugiem samotnie, mianowicie przy zlaniu się Bugu z Narwią koło Zegrza, pod Serockiem i w Terespolu, a w Galicyi w Radotyczach, koło Gródka nad Wiernią i koło Trójcy nad Styrem. Dziś ani słychu o nich, użyteczne bobry ustąpiły z kraju, a na ich miejsce dostaliśmy przy wodach szkodliwe szczury wędrowne, które przybyły z Indyi do Europy około r. 1750 i pozajadawszy dawny gatunek szczurów zwyczajnych, pochodzenia amerykańskiego, tak się te nieproszone goście w kraju naszym wpieleszyły i rozmnożyły, że się pewnie nigdy tak jak bobry wyrugować nie dadzą. Im więcej się nad pobytem bobrów w Polsce zastanawiam, tem bardziej nie zdołam zrozumieć, jak można było tak do szczętu wygubić zwierzęta tyle użyteczne, które nasi ojcowie w półła-

skawionym stanie jak domowe hodowali, i w inwentarzach zapisywali. Nie mogę też i tego pojąć, dla czego nikomu z naszych panów nie przyszło na myśl założyć bobrownię u nas podobnie, jak to uczynił ks. Schwarzenberg w Wittingen w Czechach. Gdybym posiadał środki, zarazbym sobie bobrownię założył zwłaszcza, iż wiem, że tylko początek byłby trudny. Do tego celu potrzebaby poświęcić miejsce około 20 morgów przestrzeni nad rzeką jaką, tu zrobić staw pięciomorgowy, a nad stawem zasadzić lasek z olszyny, topol, iw, rokicin i innych wierzb. W bliskości stawu w lasku wystawić ładny domek z czterema izbami, w dwóch mieszkałby dozorca, a drugie dwie służyłyby do początkowego przechowywania sprowadzonych, a jeszcze nieprzyzwyczajonych bobrów. Staw i lasek powinnyby być oparkanione i rowem obwiedzione. W pierwszym możnaby też utrzymywać użyteczne ryby, tudzież niektóre gatunki nowszych paradnych kaczek. Wyżywienie bobrów nicby nie kosztowało, bo te zwierzęta żyją tylko korą z drzew, a przeto rybom nie szkodzą. Przekonany jestem, iżby to się z czasem wypłaciło, a przynajmniej daleko pożyteczniejsze i intratniejsze było, niż kosztowne nieraz a mało zysku przynoszące bażantarnie. Tylko tu niezbędną jest cierpliwość i wytrwałość, by się pierwszemi, nieprzewidzianemi niepowodzeniami i stratami nie zrazić. Dorosły samiec daje 30 funtów dobrego mięsa prócz smacznego ogona. Mięso to podług doświadczeń Augusta Redyka z Krakowa, który mieszkając dawniej w Warszawie jadał bobry nad Bugiem ubite, ma być wyśmienite. Ogon należał dawniej do przysmaków na stołach naszych magnatów, ma to być tłustość wyborna, biała i jędrna, trochę balsamicznego zapachu, przyrządza się zwyczajnie z warzywami np. z jarmużem, kapustą lub zielonym grochem. Z zioberek robi się doskonała potrawka z miodownikiem, a resztę mięsa, ponieważ jest tłuste i do wieprzowego podobne, można marynować jak szynkę. Odzież zimowa bobra daje pyszne, gęste i ciepłe futro, skórki z czarnem futrem są najdroższe. Z włosów letnich wyrabiają kapelusze, rękawiczki i t. d., a ze skórki trzewiki. Najważniejszym jednak artykułem handlu jest strój bobrowy *(castoreum)*, tłustość żywiczna smaku gorzkawego i zapachu przenikliwego, znajdująca się z tyłu w dwóch torebkach w ilości 8 do 10 uncyi. Pan Redyk znajdował jej mniej w bobrach krajowych, bo tylko 3 uncye, ale zato posiadającej wszystkie przymioty dobrego stroju sybirskiego, którego jedna uncya kosztuje 60—70 złr. Przypuśćmy, że jeden bóbr wyda tylko dwie uncye stroju, rachujmy tylko po 15 złr. za uncyę, to już za samo *castoreum* byłoby 30 złr., a futro i włos pewnie warte najmniej 10 złr. nie rachując ogona i reszty mięsa (za ogon płacono 2 dukaty w r. 1734). Mój Boże ile to korcy zboża trzoda spotrzebuje, nim taką intratę przyniesie, a nasz bóbr poczciwy nic nie wymaga, tylko trochę kory z drzewa, której sobie sam nastruże. Strój z amerykańskich bobrów, którego nam Anglicy z Kanady dostarczają, nie kosztuje więcej jak 4 złr. uncya, a to dla tego, bo zwykle jest fałszowany innemi tłustościami, a przeto o wiele słabszy. Z młodu wychowany bóbr ułaskawia się z czasem i na zawołanie przybiega, w niewoli jada chleb, bułkę i t. d. Głos bobra jest smętny do płaczu podobny, i ztąd urosło przysłowie: spłakał się, płacze jak bóbr. Zresztą wszyscy naturaliści i myśliwi zgadzają się w tem, że bobry są niezmiernie ostrożne zwierzęta, które niebezpieczeństwo daleko wietrzą, i zaraz uciekają do nor podwodnych. Zwyczajnie mało się kiedy oku ludzkiemu ukazują, gdyż wychodzą na żer tylko szarą godziną. Z tych przyczyn bardzo być może, że się gdzie jeszcze w kraju naszym i dziś ukryte znajdują. Koło Buska ubito ostatniego bobra r. 1862. W r. 1851 będąc w Wiedniu słyszałem., że Exinger posiadał całą rodzinę bobrów złowioną nad Dunajem“.

(Dokończ. nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Wyczytawszy w Łowcu artykuł naszego znakomitego badacza przyrody hr. Kaź. Wodzickiego, w którym tenże podaje nader charakterystyczne rysy z życia oswajanych rogaczów, ośmielam się dołączyć kilka słów dotyczących tego przedmiotu. Przed laty niewielu wychowała a raczej wypieściła bezdzietna pani Ł. rogaczyka, który równie jak ów Antoś w opowiadaniu hr. Wodzickiego, w młodości swej łagodny i ujmujący cieszył się względami całego otoczenia domowego, a w nader ścisłej przyjaźni żył z starym wyżłem rasy kurlandzkiej Bekasem. Zresztą z psami w nieustannej był waśni, bały się też Misia (tak się nazywał rogaczyk) jak ognia, bo tłukł je niemiłosiernie rożkami przy każdem spotkaniu, więc też unikały go starannie, gdyż Misio zawsze był gotów do zaczepnej wojny. Jak Antoś wstręt miał do płci pięknej, z wyjątkiem swej opiekunki, a płeć brzydką tolerował, był bowiem jak prawdziwy jedynak przekonanym, że hołdy i pieszczoty, jakich u swej żywicielki doznawał, należą się mu też od wszystkich. Zachciało się pewnego razu Misiowi mnie uraczyć kapryśną niechęcią, jaką często względem płci słabej objawiał. Wróciłem właśnie z konnej przejażdżki, było chłodno, Misio ułożył się na samym progu drzwi gankowych, nie jak zwykle przy swym przyjacielu wyżle, lecz prawie na całej powierzchni jego kudłatego i dobrze utuczonego korpusu. Nie chcąc a raczej nie mogąc przekroczyć tej dosyć wielkiej żywej barykady, upomniałem delikatnie nogą tę przyjacielską grupę do zrobienia wolnego przejścia. Pan Misio oburzony snać tą moją śmiałością, leżąc ubodł mnie w kolano swymi szpiczastymi rożkami, na razie ból był dotkliwy, więc w gniewie pochwyciłem lewą ręką jeden z jego rożków, a prawą ściągnąłem go po grzbiecie prawdziwą nahajką, kupioną przez mego ojca u tatara w Bałcie na jarmarku. Misio nie przyzwyczajony do takiej suchej kąpieli, począł beczyć piskliwym głosem, a wyżeł, zdziwisz się łaskawy czytelniku, wyrwał się wprawdzie bardzo skwapliwie z pod rogacza, ale ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, przypadł do mnie i ugryzł w łydkę, poczem o ile mu wiek podeszły i tusza pozwalały, uszedł spiesznie jeden raz tylko potężny otrzymawszy nahajką. Nie bardzo mi dokuczył swymi nie zębami lecz raczej pniakami tychże, ale objawił wiele uczucia, bronił bowiem swego przyjaciela, więc przez wzgląd na szlachetną pobudkę przebaczyłem mu ów wybryk. Gdy mowa o tym szlachetnym psów przymiocie, niech mi będzie wolno w celu podniesienia tej cnoty przytoczyć zdarzenie, które mi opowia-

dał obywatel z Bukowiny pan B. „Kazałem był odświeżyć faetonik dodając nowe fartuchy, które rymarz wysmarował szpikiem i smalcem. Postawiono faetonik w miejscu słonecznem, aby tłuszcz wsiąkł w skórę. Siedząc w ganku spostrzegam charta leżącego na poduszkach faetonu; pragnąc ochronić sukno od powalania lub rozdarcia, podchodzę milczkiem z harapnikiem w ręku i widzę, jak chart gryzie fartuch świeżo wysmarowany, chwytam więc psotnika za ogon i kropię harapem, ale w tejże chwili czuję dotkliwy ból w nodze, oglądam się i dostrzegam mego wyżła, który nie czekając zapłaty za ów upust krwi, co rychlej pomyka. Mija jeden dzień i drugi — wyżła niema nawet w porze obiadu, ubiegł już tydzień — pies się nie pojawił. Po kilku tygodniach zapragnąłem odwidzić rodziców, mieszkających o kilka mil od wsi, którą dzierżawiłem. Po przywitaniu mówi mi ojciec, że wyżeł mój jest u niego, wołają go, ale go nie znaleziono. Opowiadam ojcu, co się stało, wyrażając przytem podziw mój nad rozumem i uczuciem przyjaźni tego psa. Podano wieczerzę, śród której matka moja, osoba bardzo drażliwych nerwów, zrywa się nagle przerażona z sofy z wykrzyknikiem: coś tam pod sofką sapie. Odsuwamy ją i znajdujemy plackiem do podłogi przylgniętego wyżła. Na ten widok nastąpił wybuch śmiechu. Podchodzę do wyżła, on udaje nieżywego, leży z zamkniętemi oczami, spodziewając się zapewne sowitych plag. Rozbroił mnie pokorą, począłem go głaskać i karesować, on zaś lizał mi stopy i ręce, poczem nazajutrz już razem wróciliśmy do domu". Wracam wszakże do mego rogacza. Misio był postrachem kobiet osobliwie, jak słusznie zauważał hr. Wodzicki, w pewnej porze. Z wielu jego excessów przytoczę tylko dwa. Pewnego razu przyjechał kupiec na woły, żyd bogaty, maremorajny. Oglądnąwszy woły, wraca z wołowni drogą jak zwykle zasłaną błotem do kostek. Kupiec jako wielce ucywilizowany wstępując na schodki ganku u domu, chciał nieco oczyścić obuwie, zgiął się więc i ocierał je jakimś wiechciem. W tem widzę z okna, że żyd wywraca koziołka, gramoli się i znowu najfatalniej koziołkuje, rozpaczliwie przyzywając pomocy. Wybiegam co tchu i widzę Misia uderzającego co chwila jakby taranem swymi rożkami w żyda, czyli raczej w obszerną jego tylną peryferyę. Odpędziłem napastnika, żyd podniósł się, ale wyglądał jak z krzyża zdjęty, ochłonął nieco z przestrachu i prowadzony wszedł do domu oglądając się nieustannie po za siebie. Pani Ł. przepraszała kupca, spuszczając z ceny wołów złagodziła gniew i rozdrażnienie żyda i nie ukarała nawet Misia. Pobłażliwość ta jednak dała się jej wreszcie w skutkach uczuć. W pewnym dniu wyszła rano do ogrodu ku truskawkom, a że już były dojrzałe i dorodne, poczęła je zrywać chyląc się ku ziemi. Rogacz, któremu wolno było wszędzie swobodnie się włóczyć, nie poznał swej pani, więc pędem wpada na nią i bodzie z tyłu. Pani Ł. z przerażenia i bolu omdlała i gdyby nie rychło był nadbiegł ogrodnik, to byłby może ją rogacz śmiertelnie zmaltretował. Zaniesiono panią Ł. do łóżka, a Misio nie był wprawdzie ukarany, ale stracił łaskę, nie dostawał już cukru i bułki, nawet nie wolno mu już było pojawiać się w pokoju. Trzeba było widzieć sceny, jakie się odbywały podczas jedzenia. Rogacz przebojem usiłował dostać się do pokoju, zawzięte staczając walki z chłopcami kredensowymi, którym polecono odpędzać go. Po pewnym czasie zaprzestał dobywać się do pokoju, więc ściągnięto straż gankową. Pewnego dnia w miesiącu Grudniu, a było już siarczyście mroźno, nakryto do wieczerzy, byli nawet goście. Podczas gdy wszyscy zajęci jedzeniem i rozmową, rozlega się wrzask i brzęk, wszyscy jak oparzeni zrywają się z swych miejsc, robi się zamięszanie, kobiety krzyczą, mężczyźni osłupiali stoją jak posągi, a z poza potłuczonego szkła i wyłamanych ram wpada do jadalni rogacz. Zapewne oświecone okna wskazały mu tę drogę zwłaszcza, iż jak twierdził stróż domu, wilki go przeraziły, co zresztą prawdopodobne, bo pani Ł. mieszkała w głębokich górach sanockich, gdzie podczas zawalnych zim często napadają wilki na zwierzęta domowe, o czem w tejże wsi pani Ł. sam naocznie miałem sposobność się przekonać. Tak przerażony rogacz nie dziw, że gdziekolwiek szukał ocalenia, ale na razie nikt nie badał przyczyny, lecz każdy srogim zapałał gniewem ku napastnikowi tem bardziej, że wraz z nim wpadł do pokojów mróz przejmujący. Wnet okno zasłoniono dywanem, a Misia nie bez dotkliwych upominków wyrzucono za drzwi i uprowadzono do oficyn. Wieczerza była przerwaną, panie poszły spać głodne, my zaś, a było nas kilku, do samej północy jeszcze zabawialiśmy się zapełnianiem żołądka, zwilżaniem gardła i powabną gawędką o rzeczach łowieckich, wysnuwaną z własnych doświadczeń nie bez przymieszki ustępów z rajskiej dziedziny ułudy. Przypuszczenia, z jakich przyczyn mógł rogacz w tak gwałtowny sposób pojawić się w jadalni, naprowadziły nas na utwierdzenie w sobie przekonania, że zwierzęta dzikie a oswojone więcej okazują intelligencyi, jak domowe, ponieważ wskazane przez przyrodę na samodzielne utrzymanie i chronienie swego życia, stopniowo wyrabiają w sobie wysoki zmysł duchowy, jaki u zwierząt domowych, zrodzonych w niewoli i pielęgnowanych rozwinąć się nie może. U nich jedynie obcowanie z człowiekiem wyrabia pewien stopień inteligencyi nawet wysoki jakto widzimy u psów, ale pewnie nie samodzielności.

Sarny od najmłodszego wieku wychowane w odmiennych żyjąc jak w stanie dzikim warunkach, nie tylko nie tracą swej przyrodzonej ruchliwości i zmyślności, jak to się dzieje n. p. u bydła i antilop, owszem potęgują się one w niewoli. Sarna jak wiadomo należy do rzędu pełnorożców, w żadnem przeto nie jest pokrewieństwie z pustorożcami, odmienne ma też wrodzone właściwości, a pojętność jej tak wybitna, iż nawet daje się wyuczyć sztuczek, o czem naocznie przekonałem się na dwuletnim rogaczu, który skakał przez podstawioną mu laskę i klękał na kolana. Jakkolwiek przeto opowiedziane zdarzenia z rogaczami hr. Wodzickiego i mój przyczynek zdawałyby się nieprawdopodobnemi, to jednak są one tylko drobną cząsteczką owych licznych okazów oswojonych sarn, u których owa cecha zmyślności i pojętności dosadniej jeszcze występuje. Dosyć w tej mierze przeglądnąć roczniki pism myśliwskich zagranicznych, aby utwierdzić się w tem przekonaniu. *G.*

Życie czworonożnej zwierzyny i życie łowieckie w kniei było już często poruszane w naszym organie, mniej zaś ptactwo, a w szczególności błotne i wodne, które nie jednemu myśliwemu nasuwa na myśl miłe wspomnienia młodości, wspomnienia przeszłe i niepowrotne. Smutna to prawda osobliwie dla miłośników bekasiego rodu, wkrótce cywilizacya i kultura poprawna wyrugują ów ród długodziobów zupełnie z naszego kraju. Już za czasów naszych ojców nie było go tyle, ile dawniej, a my zbieramy resztki, które może za lat 50 znikną bez śladu tak, jak przedpotopowe mamuty, i tylko pozostanie po nich wspomnienie, w formie legendy, opowiadanej przez sędziwych myśliwych przy kominku. Legawców będą zwać Hektorami, Polluxami, Milordami, ale nikt nte usłyszy nazwy Dubelta i Bekasa, tak częstej dzisiaj jeszcze.

Każdy ucywilizowany człowiek, mający bliższą styczność z naturą, staje się szlachetniejszym, cywilizacya spaczyła wiele zdrowych i zacnych zasad, opartych na wskazówkach przyro-

dzonych boskiego ustroju. Materyalizm wyrugował szlachetne uczucia, dyplomacya wiarę, a wynalazki pary i maszyn wytworzyły, mimo niezaprzeczonej ich pożyteczności w wielu względach, zniewieściałość, lenistwo i ospałość. Wygodnie dzisiaj jeżdżąc koleją, nie łatwo da się kto nakłonić wsiąść na konia lub wózek, puścić się w dalszą podróż i doznać niewygód, jak ptak przelatując za pomocą pary całe kraje, mało kto dostrzeże piękności natury, która mu też obojętna, jakoby nie był cząstką owej przyrody, siada starannie okutany futrem, z plaidem na nogach, cygarem w ustach, gazetą w ręku i nie zważa, co się w koło niego dzieje, narzeka, gdy 100 mil jedzie 18 godzin, jeśli w wagonie wieje, biada na nieporządek, a kiedy przypadkiem zdarzy się jaka katastrofa, której skutkiem małe zadraśnięcie, zwołuje lekarzy, jak gdyby co najmniej kula mu nogę urwała. Źle się dzieje Panowie! Może wkrótce każemy się wozić na stanowiska koleją i będziemy zwierzynę strzelać z wagonów, aby się nie męczyś. W niepamięć idą tradycye naszych przodków, którzy na koniach, z oszczepem w dłoni dzika osadzali, a z ogarami i skałkówkami upędzali się po kniejach.

Rozgadałem się jak stary zamiast szkicować obrazek polowania błotnego, gawędzę o cywilizacyi rugującej coraz bardziej ptactwo błotne — przystępuję więc do rzeczy. Bierz kolego płótniankę, ciżmy, torbę na plecy, strzelbę i psa dobrego, i ruszajmy w świat — daleko! Ranek letni uroczy, mieszkańcy powietrzni muzyką, kwiaty wonią przejmują duszę i ciało, noc spuszcza sukienkę mglistą, po za którą wysuwa się wspaniała tarcza słońca, rozlewająca purpurowe światło, kropelki rosy uwisłe na każdej trawce błyszczą milionami brylantów, a tu i owdzie kwiatki polne uśmiechają się rozwijając swe kielichy, i różno-barwnym kolorytem urozmaicając zieloność. Tam motylek wzniesie się lekko, aby usiąść na kwiatku, tu komar zabrzęczy lub świerszcz zaskrzeczy, — a całość tyle ma w sobie uroku, tyle artystycznego wdzięku i poezyi, iż najprozaiczniejszy nawet umysł zachwyci się nią i ogrzeje. Idziesz dalej swobodny z legawcem, twym wiernym towarzyszem i przyjacielem, który skomląc z radości na krok cię nie odstępuje, jakby się obawiał, żebyś nie powrócił do domu. Śliczny krajobraz rozściela się w dali, rozlegają się łąki obsiane krzaczkami łoziny lub olszyny, gdzieś tam daleko wysuwa się chatka z bukietu drzew, zresztą oko twe spotyka kilka stercisk, parę kopic świeżego, woniejącego siana, które często śród deszczu dają ci gościnne schronienie — a wszystko to na tle błękitnego nieba i w dali rysującego się ciemną smugą lasu, tworzy dla myśliwego, umiejącego czuć i myśleć, obrazek pełen życia i kolorytu. Zachwycony uroczym powabem przyrody idziesz zadumany, — wtem pies poczyna wietrzyć, podsuwa się, wyciąga szyję, kroczy zwolna, wreszcie wyciągnięty jak struna staje. O! wtedy cała twa dusza łączy się z tym towarzyszem, serce uderza tysiącem tętn nerwowych, ręka drży i mimowoli pociąga kurki gotowe do boju, wytężasz wzrok ku legawcowi, który co chwila zwraca spojrzenie ku swemu panu, jakby wskazywał zdobycz. — „Pójdź dalej Dubelt! Pójdź dalej! — Pies posuwa się pełzając — wtem kszyk frunął... Bęc! bęc! chybiłem. Dubelt patrzy na myśliwego jakby z wyrzutem, on zły nabija strzelbę, oddany całą duszą namiętności myśliwskiej, puszcza się w dalszy pochód, i kroczy lekko po błocie za swym przewodnikiem. Tak przepędza często dnie całe pośród błót, samotny, ale szczęśliwy, a gdy się kiedy dobierze wesoła drużyna kilku dobrych znajomych i przyjaciół, nie zamieniałby owej chwili swobody i rozkoszy myśliwskiej za wszystkie bale i uczty światowe.

Takiej to rozkoszy dostarcza błotne polowanie. Niech tych słów kilka będą wstępem do obszerniejszego opisu, który nakreślić zamierzam, niech one będą bodźcem dla każdego myśliwego do oddawania się z zapałem temu rodzajowi polowania, którego powab leży nie tylko w trafnych strzałach, ale też w owej wspaniałej piękności przyrody, dla której myśliwy powinien zawsze mieć oko otwarte.

Henryk hr. Łączyński.

KRONIKA.

Lisowice 22 października.

Przed ukończeniem jesiennego polowania tegorocznego w tutejszych borach, pospieszam ze sprawozdaniem, ażeby się z czytelnikami „Łowca" podzielić przebytemi wrażeniami. Świetnym był w istocie dotychczasowy rezultat, a mógłby być o wiele świetniejszym jeszcze, gdyby św. Hubert był raczył lepiej opiekować się tu swoją drużyną. Podczas czterodniowego polowania *Jupiter pluvius* nękał nas ustawicznie, zlewając obfite katarakty na nieszczęśliwych Lisowickich strzelców. Prócz tego, bardzo słaby zastęp myśliwych się zjechał, wielu nie przybyło z rozmaitych przeszkód tak rzeczywistych, jak może i wymarzonych tak, że polując w kilka strzelb tylko, nie byliśmy w stanie obstawić miotów należycie. Dwa niedźwiedzie znajdują się w naszych rewirach. Jednego z nich Łowczy naszego Towarzystwa bardzo dokładnie oszlakował w górzystym Bolechowskim rewirze. Zwierz olbrzymich rozmiarów wypadł na podniosłym bukowym lesie między dwóch myśliwych, którzy na nieszczęście nie byli w sztućce uzbrojeni. Z gładkich strzelb puścili za nim dwie kule, które chybiły celu i tak piękna ta zdobycz, która nam się słusznie należała, przepadła dla nas bezpowrotnie. Za drugim niedźwiedziem dalszą przedsięweźmiemy pogoń. Prócz tego zabiliśmy 2 dziki, a dwa silnie postrzelone niepodniesiono dotąd, 6 rogaczy, 7 lisów, 11 zajęcy, 3 cietrzewie, 17 jarząbków, 9 słonek, 1 sowę uralską. Jak w ogóle wszędzie w naszym kraju, tak i w Lisowickich lasach, ciąg słonek niedopisał tego roku, znajdujemy je porozrzucane w niewielkiej ilości po całym rewirze. Ci towarzysze nasi, którzy tego roku na jesienne polowanie nie przybyli, szczerze żałować mogą, bo byliby zaznali rozlicznych wrażeń myśliwskich, w obec łowów na niedźwiedzia naprzód, a potem tej imponującej liczby cietrzewi i jarząbków, która tegoroczny brak słonek hojnie wynagrodziła. Rozmaitość i obfitość zwierzyny, daje niezawodnie Lisowicom pierwszorzędne miejsce śród wszystkich rewirów naszego kraju. — Oto jest krótkie opowiadanie, które posyłam do „Łowca". Nigdy dotąd niespotkałem się z taką ilością cietrzewi i jarząbków, dzików bardzo wiele, i sarn bez liku. Piękne widoki na zimowe polowanie bo dotąd pogoń za niedźwiedziami niedozwoliła nam zajmować się dostatecznie drobną zwierzyną. Drugi niedźwiedź mniej wielki od tego, którego w Bolechowie spudłowano. Jutro wyruszamy na niego.

L. hr. Starzeński.

Uładówka (Podole ross.) 5. września.

W kronice Łowca Nr. 2. b. r. czytamy opis projektowanego zegara, kontrolującego straż leśną. Zegar taki może oddać wielką usługę, jeżeli okaże się praktycznym. Zdaje się, że mechanizm sprężynowy pod wpływem zmian powietrza, a zwłaszcza mrozów i upałów, podlegać będzie zepsuciu, następnie może i manipulacya cała tej kontroli będzie utrudnioną. Prosimy o wiadomość, gdzie się te zegary wyrabiają i po jakiej cenie nabyć ich można? W leśnictwie tutejszem, dla kontroli obchodów pewnych części lasu, przydzielonych do pilnowania piętnastu gajowym pod nadzorem leśniczych i nadleśniczego, używamy z dobrym skutkiem wcale prostego sposobu. W miejscach wymagających szczególniejszego dozoru, zakopuje się słupek w kwadrat obrobiony, w którym wywierconych jest siedm dziurek z góry na dół w dwóch rzędach, odpowiadają-

cych dniom tygodnia i porze rannej i popołudniowej każdego dnia. Każdy gajowy obchodzi swoją część lasu dwa razy codzień i znaczy obchód zatknięciem kołka w dziurkę u słupka, n. p. w poniedziałek rano zatyka pierwszą dziurę w lewym rzędzie, po południu pierwszą dziurę w prawym rzędzie, we wtorek rano w drugą dziurę lewego rzędu, popołudniu w drugą dziurę prawego rzędu i t. d. Każde nienależyte i nieregularne zatknięciu kołka świadczy o zaniedbaniu obchodu. Słupy takie służyć mają również do kontroli dozorców polnych. *H. M.*

P. R. Do tej chwili nie zawiadomił nas p. N. Sufczyński, wynalazca zegara kontrolującego straż leśną, iż owe zegary są już do nabycia. Nie wątpimy, iż to się wkrótce stanie, o czem bezzwłocznie czytelnikom naszym damy dokładną wiadomość.

Szanowny autor „Burzanów ukraińskich“ prosi nas o sprostowanie dwóch wyrażeń w tymże artykule. W ustępie: „chodziła nadzwyczajnym kłusem, i co przy tem miała zadziwiającego, to to, że się prawie takim kłusem cofała“, zamiast „prawie takim kłusem“ poprawić „znakomicie“. W drugim ustępie zamiast „opatrywał ją leżącą“, ma być „opatrywał ją leżąc“.

Rohatyn, 24 Września.

Pan Remiszewski pisząc o systemach broni, podnosi wielce wartość systemu Lankaster, a wykazuje wiele wad systemu iglicowego w ogóle, a systemu Teschnera w szczególe. Nieznam dokładnie wartości systemu Lankaster, bo z takiej broni nie strzelałem, nie mogę przeto sądzić o niej. Od lat kilku poluję ze strzelbą systemu Teschnera, i stanowczo staję w obronie tego systemu tak pod względem doniosłości i siły piorunującej strzału, jakoteż systemu w ogóle. W systemie Teschnera proch zapala się w środku ładunka, explozya przeto następuje z całej masy prochu jednocześnie, a więc tem ostrzej nabój uderza. Rzadko się wydarza, żeby zwierz po strzale nie spudłowany, umknął, a już wcale nigdy, żeby strzelba wypaliła, jeżeli się klapę zabezpieczenia odsłoni, lub żeby ładunek zawiódł. Są to zarzuty, z którymi pierwszy raz się spotykam, chociaż sam już od lat kilku z taką strzelbą poluję, i w skutek mego polecenia albo za mojem pośrednictwem już z dziesięć strzelb systemu Teschnera od Collatha sprowadzono. Dotąd nikt z znanych mi myśliwych, używających strzelb tego systemu, nie wytykał im owych wad. W obronie systemu Teschnera upraszam o umieszczenie następujących zapytań do myśliwych:

a) czy zdarzyło się komu, żeby strzelba systemu Teschnera przy odsłanianiu klapy bezpieczeństwa wypaliła?

b) czy zdarza się, żeby sztyfty w ładunku systemu Teschnera wystawały tak, iżby takowe napowrót zapychać było potrzeba, i aby w skutek tego nabój explodował?

c) żeby kiedykolwiek nabój tego systemu zawiódł?

W dniu 25 b. m. nastąpi ostateczne ukonstytuowanie się i urządzenie naszego Towarzystwa myśliwskiego. Zalicytowaliśmy 30 gmin. Członków zgłosiło się dotąd 37, a jest nadzieja, że więcej ich przystąpi. Obrady Walnego Zgromadzenia później podam. *S. Manasterski.*

Myśliwi w okolicy Lwowa uskarżają się na brak słonek, mimo tego widzimy na targu lwowskim znaczną ich liczbę, nie łowionych lecz strzelanych. Dotąd nie mamy wiadomości z kraju o ciągu jesiennym słonek, szanowni członkowie Tow. łow. raczą nas uwiadomić o nim, również o stanie zwierzyny i o rezultatach polowań jesiennych.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Janocha Leonciusz.
Lemer Tytus, Dr. med.
Leszczyński Franciszek
Senkowski Zygmunt.

Stanisławów, 23 Października.

W Czerniejowie ubito od 27 Września do dnia dzisiejszego 80 słonek. Teraz jest ich najwięcej. S.

W Krakowie zawiązuje się Towarzystwo myśliwych. Witamy je, jak inne szczerze, i oczekujemy sprawozdania i bliższych o niem wiadomości.

Pismo: „Wiener landwirthschaftliche Zeitung“, zamieszcza rzecz, która może nasze koło myśliwskie zainteresować: „C. k. niższo-austryackie Namiestnictwo nakazało, by w czasie od 16 Grudnia do 15 Września jako porze, w której kóz strzelać nie wolno, sarny tylko w takim stanie sprzedawano, iżby płeć z łatwością i wszelką pewnością rozpoznać można, nie wolno przeto w powyższej porze sprzedawać sarn poćwiartowanych“. — Ponieważ u nas sarny bezwarunkowo w ciągu całego roku mają być oszczędzane, byłoby takie rozporządzenie, zgodnie z naszą Ustawą łowiecką na cały rok rozciągnięte, bardzo pożądanem.

OGŁOSZENIA.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.